PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY REDAKTOR

przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17

Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

Rocznica encyklik społecznych.

W maju cały świat katolicki obchodzi uroczystość wydanych przez Stolicę Apostolską encyklik społecznych.

Do ostatniego roku obchodziliśmy w ten sposób wiekopomną encyklikę Rerum Novarum (15. V. 1891), obecnie przybyła nam jeszcze encyklika Quadragesimo Anno (15. V. 1931), która ukazała się dokładnie w 40 lat po pierwszej.

Rerum Novarum uważana jest przez powszechną opinję za chrześcijańską *magna charta* praw warstw pracujących. Była ona pierwszą w wielkim stylu enuncjacją Kościoła, omawiającą zagadnienia związane ze współczesnym ustrojem gospodarczym. Wydana została w tym czasie, gdy ludzie nauki i akcji, zarówno materjaliści, jak i katolicy rozważali zakończoną właśnie pierwszą fazę rozwojową (czy kryzysową) ustroju kapitalistyczno-indywidualistycznego. Dlatego też nie zna i nie rozstrzyga szeregu zagadnień, które wyszły na jaw dopiero w drugiej, dziejowej fazie tego ustroju, tak bardzo anarchicznego i nieharmonijnego. Koniec w. XIX był to moment ostrego zmagania się poglądów liberalnych i socjalistycznych, szkoła zaś chrześcijańsko-społeczna dopiero powstawała właśnie, aczkolwiek zasadnicze zręby myślenia tej szkoły kształtowały się prawie równocześnie z so-

cjalizmem, to wszakże rozwój jej—nie w filozofji, lecz w akcji— był dosyć powolny. Dlatego może Rerum Novarum poświęca tak dużo miejsca zwalczaniu poglądów socjalistycznych, w myśl zaś tradycyjnej i zupełnie uzasadnionej ostrożności Stolicy Apostolskiej w wystąpieniach zewnętrznych — potwierdza tylko najważniejsze i najogólniejsze założenia myśli chrześcijańsko-społecznej, dając ogólne wprawdzie w wielu dziedzinach, lecz tem nie mniej zupełnie wyraźne wskazówki dla katolików, w jakim kierunku zmierzać winna ich akcja społeczna.

Quadragesimo Anno potwierdza całkowicie, a nawet systematycznie streszcza tezy Rerum Novarum; jest więc w pierwszym rzędzie jeszcze jednym z niezliczonych dowodów doskonałej ciągłości, harmonji i konsekwencji Stolicy Apostolskiej, jedynej na świecie instytucji, która nigdy nie potrzebowała cofać tego co raz powiedziała. Znaczenie jednak Q. A. nie ogranicza się do tego. Wydana w momencie bodaj że kulminacyjnym drugiej fazy kryzysu współczesnego ustroju gospodarczego, zawiera wiele ujęć nowych i zupełnie nowoczesnych, że wymienimy tylko pogląd na istotę dzisiejszego kryzysu i na przebudowę korporacyjną ustroju. W ciągu 40 lat wiele zagadnień zostało opracowanych, albo przez wypadki rozwiązanych, to co było dawniej niepewne i mgliste—obecnie stało się faktem i Kościół mógł wydać wyraźne orzeczenie, udzielić swego placet podjętym pracom, potępić co należy i wskazać drogi rozwojowe na przyszłość.

Niestety, musimy stwierdzić, iż u nas w Polsce encykliki społeczne są bardzo mało znane wśród inteligencji katolickiej. Zna je, entuzjazmuje się nimi i pracuje w myśl ich założeń drobna tylko garstka, pozatem istnieje grupa socjologów, i ekonomistów katolickich, teoretyków, którzy rozpatrują te zagadnienia z punktu widzenia czysto naukowego. Szerszy natomiast ogół inteligencji ma mgliste tylko i bardzo dalekie wyobrażenie o nauce społecznej Kościoła i bardzo często zadawalnia się tylko ogólną wiedzą, że istnieją encykliki Rerum Novarum i Quadragesimo Anno... To jest znacznie mniej, niż trzeba...

Stąd też widzimy pewne zacofanie w poglądach panujących w sferach inteligencji katolickiej, często tam można spotkać się ze zdaniem, jakoby Kościół był — horribile dictu — obrońcą ustroju kapitalistycznego, jakoby ten ustrój był wyrazem zasad katolickich w ekonomji społecznej! Nie potrzeba uzasad-

niać, że tego rodzaju konserwatyzm myślowy, takie kurczowe trzymanie się poglądów aktualnych akurat w połowie XIX w. wyrządza ogromne szkody katolicyzmowi, gdyż hamuje rozwój myśli katolickiej w Polsce, z drugiej zaś strony wytwarza nieufność i niechęć między inteligencją katolicką a ludem.

Naszem zdaniem należy wykorzystać zbliżającą się rocznicę wydania obydwu encyklik, aby urządzić szereg odczytów, a nawet może kursów uświadamiających i zaznamiających z temi zagadnieniami. Nie chodzi nam tylko o t. zw. uroczyste akademje urządzane dla mas ludowych. I takie akademje się przydadzą, robotnik zresztą, a nawet i chłop bardzo chętnie słucha i dowiaduje się o tych rzeczach.

Chodzi o inteligencję, która naogół nie zna zasad gospodarczo-społecznych Kościoła, albo zna bardzo powierzchownie, i dlatego może wykazuje daleko idącą obojętność wobec pierwszorzędnych zagadnień doby bieżącej, od których rozwiązania będzie zależała przyszła struktura świata. Rzucamy myśl, aby wykorzystać rocznice Rerum Nov. i Quadr. Anno w celu uświadomienia i zainteresowania tymi problemami naszej inteligencji. Niech wszędzie tam, gdzie to jest możliwe odbędzie się nie jeden wykład, ale cały tydzień społeczny, omawiający te zagadnienia. Zdajemy sobie sprawę, iż nie da to odrazu wyników decydujących, jeżeli jednak akcja tego rodzaju prowadzona będzie systematycznie przez kilka lat, ani się spostrzeżemy, jak wspaniałe wyniki okażą się w całej pełni.

Inteligencja nasza w gruncie rzeczy nie jest ulepiona z gorszej gliny, niż inteligencja innych narodów. Zapoznajmy ją z katolicyzmem społecznym i to nie w sposób czysto abstrakcyjny, lecz życiowy i praktyczny, a wówczas niewątpliwie zdobędzie się na odpowiedni zapał i energię i wydobędzie z siebie te wartości, które po dziś dzień są, niestety, w ukryciu.

Niech więc rozwinie się u nas i spopularyzuje właśnie w kołach inteligencji Święto 15 maja, uroczystość pracy, a równocześnie myśli i akcji katolicko-społecznej!

Wychowanie religijne na tle ruchu pedagogicznego.

Pierwsze wrażenie, które wynosi bezstronny obserwator obecnego szkolnictwa na ziemiach Polski, jest wrażenie niestałości, braku powagi i pewności siebie oraz ciągłego eksperymentowania. Wychowanie jest rzeczą tak dawną, jak człowiek, natura ludzka także nie ulega znaczniejszym zmianom. Stąd pierwszym przymiotem wychowania powinna być tradycyjność. Tylko drobne odchylenia od wiecznych linij wychowania sprowadzić mogą zmienione okoliczności, które raz tę raz ową ideę każą wysunąć na plan pierwszy. Mniej stałe od wychowania może już być nauczanie, gdyż fundusz naukowy rozwija się powoli ale stale i domaga się uwzględnienia pod względem materjalnym czyli zawartościowym i pod względem formalnym czyli jakościowym, ale i tutaj wielką należy zachować ostrożność, bo najpierw metoda nauczania doznać może tylko drobnych ulepszeń wbrew temu, co różni zapaleńcy głoszą w zbyt licznych publikacjach. Widząc zastępy bojowników, kruszących kopje o nowe metody nauczania, ma się wrażenie bojów Kiszotowych z wiatrakami. Powtóre, niekoniecznie trzeba podawać ostatnie zdobycze wiedzy, tak często niewypróbowane i chwiejne. Młodzież szkół powszechnych, a nawet szkół średnich nie może mieć pretensji do wykształcenia zupełnego w różnych dziedzinach. To daje uniwersytet, albo szkoła specjalna. Rzeczą szkolnictwa na stopniu niższym i średnim jest dostarczenie rzetelnych podstaw, na których będzie można z łatwością skonstruować najnowsze wyniki wiedzy.

Płochość naszego szkolnictwa idzie w parze ze zbytniem przejmowaniem się obcemi, zagranicznemi wzorami. Uzasadnione jest dążenie do zaznajomienia się z wytworami pedagogicznej myśli Europy i Ameryki, ale znać nie znaczy jeszcze naśladować. Znać należy poto, aby przy sposobności skorzystać, a nie żywcem przenosić na zgoła inny teren i odrębny materjał ludzki. Tymczasem na 10 książek, tłumaczonych z obcych języków, przypada jedna książka polska, bardzo w dodatku zależna od literatury pedagogicznej, pisanej w języku niemieckim, angielskim, francuskim lub włoskim. Niestałość zasad i metod wy-

chowawczych oraz cudzoziemszczyzna razem sprowadzają powierzchowność, jakgdyby szkoła polska postawiła sobie prawidło multa non multum, inaczej niż dotąd postępował cały świat. Jeżeli są to objawy raczej niekorzystne, to pocieszmy się tem, że były one poniekąd koniecznością nowopowstałego organizmu państwowego oraz, że i zagranica na nie niedomaga, że są one znakiem naszej epoki.

Najnowszym prądem, który zawładnął szkolnictwem polskiem, jest t. zw. wychowanie państwowe. Może nie zgadza się ono niekiedy z żądaniem szkoły narodowej, niejednokrotnie też bywa przesadnie głoszone i nieumiejętnie przedstawione, samo w sobie jednak — rozsądnie pojęte — jest dążeniem uzasadnionem nie tylko ze względu względu na czasowe stosunki, ale wogóle, gdyż nie naród jest wykonawcą władzy lecz państwo. Pojęcie wychowania państwowego, jest tak dawne jak samo pojęcie wychowania. Wystarczy wspomnieć imiona Sparty, Rzymu, Karola Wielkiego. W okresie humanizmu i reformacji szczególnie podkreślano związki wychowania wogóle z wychowaniem państwowem. Humanista Wimpheling (um. 1528) głosił zdanie: „Wpierw Bóg i religja, potem państwo, a na końcu własne ja", cały szereg nazwisk jak Radkę, Milton, Locke, Fénélon, Bossuet, Komenjusz, Basedow, Pestalozzi, Fichte, Jahn, przytoczyć można dla uzasadnienia obecnego prądu wychowania państwowego, który jest naczelnem hasłem w szkolnictwie polskiem. Z nowszych powag pedagogicznych wystarczy wymienić Deweya, Kerschensteinera, Förstera, Mathiesa.

Łącznie z dążeniem do wychowania uświadomionych społecznie i politycznie obywateli dąży szkoła obecna do wyrobienia charakteru. Stawia ona tę robotę wyżej od uczenia czysto intelektualnego. Głowa ucznia przestała być jedynym celem. do którego mierzy wysiłek nauczyciela. Ostatniemi czasy wysunięto znowu serce i wolę ucznia do tej samej rangi co umysł, wychodząc z uwagi, że obecny ustrój demokratyczny, dając obywatelowi większą swobodę działania, wymaga także większej dyscypliny własnego ja. Wskazując na powszechną dziś żądzę wygód i posiadania, żąda Kerschensteiner wzbogacenia wewnętrznego ludzi w energję i zasoby woli, inaczej, zdaniem jego, pokolenie obecne pozostawi zgliszcza zdobyczy ojcowskich. Wychowanie polega na tem, aby to co jest nakazane stało się wy-

nikiem własnej woli, aby świadoma cnota przeszła w zwyczaj niewymagający tak wielkiego napięcia jak w początkach postępowania moralnego. Trzy cnoty zwłaszcza nasuwają się w tej dziedzinie: prawdomówność, która życie umożliwia, sprawiedliwość, która je utrwala, i miłość, która je zapładnia i umila. Natorp wysuwa trzy inne cnoty wychowania charakteru: czystość czyli umiar jako cnotę instynktów, męstwo czyli moralną dzielność, jako cnotę woli, oraz ukochanie prawdy, jako cnotę umysłu.

Trzecią cechą dzisiejszej szkoły jest jej pociąg ku sztuce. Sztuka jest u podłoża najnowszych reform szkolnych, choć one nieraz zapierają się tak szlachetnego urodzenia. Dbałość o rzeczy piękne, a raczej o piękno rzeczy stworzyła także szkołę twórczą, czyli metodę pracy. Wychowanie przez sztukę ma bowiem wyostrzyć wzrok na piękno w dziele Bożem, a więc na przyrodę, ale także na piękno, wykonane ręką ludzką. Sztuka uszlachetnia człowieka, temsamem należy do zespołu nauk wychowawczych, które korzystają ze wszystkiego, co człowieka może stawić na wyższym poziomie. Sztuka w pracy pedagogicznej powinna prowadzić do myślenia, a nawet do tworzenia, a nie powinna się zadawalać niepłodnem używaniem. Korzyści uchwytne, z zajmowania się sztuką wynikające, wylicza apostoł tej gałęzi pedagogicznej w Niemczech, E. v. Sallwirk, w doniosłem dziele „Erziehung durch die Kunst" (Wychowanie przez sztukę). Wyrobienie umysłowe powinno oczywiście równomiernie z wyrobieniem estetycznem być uwzględniane. Sztuka nauczy nas kochać to co przedstawia, wprowadzi w symfonję życia nutę podniosłą, a zarazem serdeczną. Zamiłowanie do sztuki uprawia się zwłaszcza tam, gdzie ją uśmierca bezduszna maszyna, czyli w ośrodkach przemysłu fabrycznego.

Wychowanie fizyczne, nowe oblicze dzisiejszej szkoły, cieszy się ono osobliwą pieczą i słusznie. Chodzi tylko o to, iżby sprawy nie przeholować i nie przypisywać jej większego znaczenia, niż ma, lub mieć powinna. Niekiedy w umysłach osób starszych rola obecna wychowania fizycznego nie wydaje się przesadną, umysły zaś młode zaprząta nadmiarę wskutek zewnętrznych imprez, poświęconych wychowaniu fizycznemu, jak zawody, święta wychowania fizycznego itp. Człowiek młody, widząc co się robi dla kultu ciała, nie dostrzegając tego, co się robi dla

kultury duchowej, tamtą poczyna stawiać nad tę i stąd nieporozumienie niekiedy bardzo szkodliwe w rozwoju młodej struktury osobistej. Jeżeli więc dużo urządzeń, rzucających się w oczy, poświęca się wychowaniu fizycznemu, to i pracę ducha powinno się otoczyć pewnemi obrzędami, jak rozdawaniem nagród, konkursami, medalami, wieńcami, publicznemi popisami, aby ona nawet pozornie nie zeszła do roli drugorzędnej.

Trudno zdobyć się na ogólny sąd, jak wygląda wychowanie, które młodzież wynosi z domu. Wydaje się jednak, że w licznych wypadkach popełnia dom błędy wychowawcze, które często na całe życie paczą charakter. Niewątpliwie żyjemy w czasach niekorzystnych dla wychowania: chaos w dziedzinie idei, stan podgorączkowy w sferze gospodarczej. Wychowaniu sprzyjają czasy o prawidłowym trybie życia, wtedy też wydają prawidłowe, zamierzone owoce, mimo to przypomnieć należy, że jednostki dobrze wychowane wyjdą z rodzin, w których panuje zdrowie, zgoda, pracowitość, skromność, z rodzin, w których najmniej lekkomyślności, rozpasania namiętności, w których najwięcej stałości, powagi i hartu.

Wymieniliśmy więc różne kierunki dzisiejszej myśli pedagogicznej: kierunek psychologiczno - doświadczalny, społeczny, estetyzujący, fizyczny. Siłą rzeczy przechodzimy do kierunku religijnego, tembardziej, że żaden z wyliczonych prądów nie jest zupełny bez religji, owszem w parze z religją staje się wartościowy i piękny. Niestałość pedagogiki doświadczalnej uzdrowi wiecznotrwała pedagogika religijna, pierwiastek społeczny w wychowaniu udoskonali i uświęci religja swą zasadą miłości, poświęcenia i ofiarności, modlitwą i łaską, prądowi artystycznemu wskaże, że sztuka wtedy najszlachetniej działała na człowieka, gdy służyła religji, przesadne zapędy wielbicieli mięśni u młodzieży złagodzi religja kultem ideału, ducha, wartości wiecznych, i nada wszystkiemu hartu, odporności wobec niewygód życia, wskazując na życie pozagrobowe, które dopiero będzie rajem.

„Bardzo wielu ludzi czerpiało dotąd wszystkie duchowe przesłanki swych uczynków z Boga i Chrystusa, nie wiedząc o tem, i dlatego sądząc, że można żyć bez Boga i Chrystusa, obecnie jednak wstępujemy w okres nowy, w którym ludzie na własnem ciele i duszy doświadczą: co znaczy naprawdę żyć,

myśleć i działać, gdy wyschną w nas wszystkie nadnaturalne źródła światła i mocy i gdy nawet w najgłębszych pokładach naszej duszy przestaną oddziaływać na naszą wolę złożone w niej wyższe wartości". Dlatego podniósł najgłośniejszy z dzisiejszych pisarzy - wychowawców zagadnienie wartości religji w dziele formowania świeżej warstwy ludzkości.

Fr. Förster, bo o nim mowa, przebył tę ewolucję w sensie dodatnim a szerokim kołom przekazał jej obraz w książce p. t. „Religja a kształcenie charakteru". Podczas gdy przeważny odłam pedagogów odwrócił się od religji i poprzez pedagogikę moralizującą, estetyzującą, wylądował na jałowym terenie formułek psychologiczno-metodycznych, on wzniósł się z pośród rozważań pedagogiki moralizującej ku wiecznym krynicom wychowawstwa, do wyżyn religji nadprzyrodzonej w sensie katolickim. Dzięki właśnie tej duchowej przemianie przynosi wartościowe uwagi nad wszczepianiem religijności w młodociane dusze, które zerwały były w sobie swych przodków żywą więź życiodajnych praktyk religijnych.

Pedagogika areligijna uczyniła magnos passus extra viam. Wielkie dzieła naukowe (Encyklopedje, podręczniki historyczne, psychologiczne, metodyczne) i wychowawcze z dziedziny praktyki nauczycielskiej (internaty, szkoły wzorowe, doświadczalne, gabinety psychologiczne, wychowania fizycznego itd.) zbudowano z nakładem tak wielkim, na jaki pozwolić sobie może zetatyzowane szkolnictwo. Wiodą one extra viam, mijają się z drogą właściwą, czasem prowadzą do celu po długich błąkaniach, czasem sobie wręcz drogę do celu zagradzają. To też niekiedy potrafią mglistą osłoną zatulić swe niedostatki, kiedyindziej brak odwagi przyznać się do fiaska, gdy się całą ambicję włożyło w budowanie gmachu źle obliczonego i dźwigniętego na kruchych podstawach. Mamy tu jedną rację, skuwającą pogląd pedagogiki laicystycznej w pewien pozór spoistości.

Przenikliwszym, uczciwszym, odważniejszym jednostkom z tego obozu trzeba zatem często i serdecznie tłumaczyć wadliwość struktury szkoły laicystycznej i pozyskiwać je dla żyznej boskiej a zarazem tak ludzkiej doktryny pedagogicznej Kościoła. Nie można przytem nie pobudzić do zajęcia jak najkrytyczniejszego stanowiska do wyczynów nowoczesnych obliczeń i doświadczeń, które są wszystkiem tylko nie sztuką nauczania

i wychowania. Katolicki pedagog kształcić się będzie na klasycznych pisarzach pedagogiae perennis, będzie dużo medytował nad celowością swego postępowania, a tę odrobinę wartościowych zdobyczy pedagogiki nowoczesnej wchłonie z atmosferą środowiska uczelnianego.

Otchłań abstrakcji, gadatliwości i nudy pochłonęła dzisiejszą szkołę, bo usunięto zeń to, co jedynie jest realne czyli wiarę w Chrystusa i tworzenie ludzi na Jego modłę. Tragiczne złudzenie optyczne! Kierunek doświadczalno-przyrodniczy okazał się przykrą abstrakcją.

Najfatalniej przedstawia się dzisiejsza szkoła powszechna. W historycznym rozwoju jest ona najświeższa, gdyż najprzód były uniwersytety, potem szkoły średnie ogólno-kształcące, od stu lat dopiero istnieje szkoła powszechna. Beztradycyjny to twór, a nauczycielstwo jego ma wykształcenie niezbyt głębokie, to też najłatwiej poddaje się prądom radykalnym i polityce, przyczem naraża zdrowie moralno-religijne olbrzymiej większości młodzieży przy obecnym przymusie szkolnym. Spokojniej można śledzić rozwój szkół wyższych i średnich, które zawsze ratować będzie czerpanie pełną dłonią ze spuścizny przeszłości. Najczulej przeto trzeba się odnosić do szkoły powszechnej, miarkować jej rzekomą postępowość, a przeciwnie wskazywać jej na pomniki pedagogiki chrześcijańskiej minionych wieków.

„Radykalizm, nie troszczący się zgoła o doświadczenie wieków dawniejszych, niema też żadnego wyobrażenia o zagadnieniu: jak wytwarzać energję psychiczną t. j. o całej bezmiernej trudności, jaką nastręcza bodziec działania moralnego; nie pojmuje i pojąć nie umie, że jeśli dusza ma wydobyć ze siebie najgłębsze moce, przemawiać do niej trzeba koniecznie w języku konieczności społecznych. Zadanie kształcenia charakteru, wydaje się dziś wielu ludziom czemś bardzo prostem, ponieważ mają oni o naturze ludzkiej tylko bardzo blade wyobrażenie i wcale już nie wiedzą, ile to potrzeba mocy, by wolę ludzką wyzwolić z pod jarzma czynnika widzialnego i pochwytnego, a poddać ją niepisanemu prawu sumienia" (Förster str. 30).

W dobie dzisiejszej podawać trzeba młodzieży, poczynającej myśleć samodzielnie, zwłaszcza to, co dawniej nazywano praeambula fidei, co już Ojcowie ze szczególną lubością przerabiali w swych pismach, jak Augustyn, Klemens Aleksandryjski,

Bazyli, Tertuljan, Minucjusz Feliks i inni. Zanim się przystąpi do właściwych dogmatów trzeba wprzód usunąć rumowiska z drogi w postaci różnych przesądów, fałszywych komplikacyj myślowych, nawiązać do nauk przyrodniczych, historycznych, literackich, filozoficznych, zaprawić do refleksyjnego wniknięcia we własne przeżycia psychiczne, do należytego powiązania zjawisk politycznych z uwzględnieniem tła religijnego, wykazać realizm religji, odpowiedniość religji do potrzeb człowieka, ten piękny „pozytywizm“ religji, polegający na stanowisku łączącem wszystkie dziedziny życia, i ten zgubny „negatywizm“ areligijny, który waśni różne oblicza życia i wprowadza nieszczęsne separacje między etyką a religją, państwem a religją, szkołą a religją itd. Trzeba wykazać zarozumiałość intelektualizmu, hipotetyczną wartość wielkiej ilości twierdzeń, zgubne skutki ekonomji liberalnej, słuszność chrześcijańskiego zapatrywania na pieniądz i pracę.

Stąd dzisiejszy pedagog katolicki śledzić będzie na autobiografjach konwertytów bieg myśli neopoganina, który przyjął chrześcijaństwo i katolicyzm. Będzie wykazywał to, co w ruchu areligijnem lub antyreligijnem jest z myśli Chrystusowych, a co z ruchu chrześcijańskiego jest deklamacją i obłudą, bo „Dobry Pasterz nietylko wyławia dusze zbłąkane, ale także idee zbłąkane do obozu niewłaściwego, z tą jednak różnicą, że dusze zbłąkane sprowadza się do stada“ (repatrjacja), podczas gdy do idei zbłąkanej przenosi się rodzinę myślową (idee pokrewne), rodzaj immigracji. „Zanim z człowiekiem nowożytnym rozpoczniemy dyskusję o religji i kształceniu charakteru, należałoby właściwie wywieźć go ze szkoły przeuczenia, a wprowadzić do szkoły samopoznania i obserwowania ludzi, żeby w całej wyrazistości uświadomił sobie w niej ciemne i ułomne strony natury ludzkiej i zapamiętał drastyczne ich obrazy. Ale to właśnie wewnętrzne poczucie wewnętrznej natury, stało się w człowieku nowoczesnym w dobie zainteresowań, naturą zewnętrzną czemś niezmiernie a nawet wprost zatrważająco rzadkiem" (Förster str. 100).

Na rozstaju dróg, skąd wychodzi pedagogika katolicka i liberalna stoi grzech pierworodny. Pierwsza wchłania go w swój system, druga z pogardliwem wejrzeniem zostawia go na uboczu. Pedagogiem katolickim wartościowym jest ten, który

we własnej duszy po długóletnich wzmaganiach się, w klęskach i tryumfach, wahaniach i porywach, spowodowanych grzechem pierworodnym, przeżył całą gemonję wzlotów i upadków, stał się wprzód wychowawcą własnej duszy. „Nie czyści teoretycy, lecz wielcy bojownicy i zwycięscy w walce ze swemi namiętnościami, którzy myśl swą na tem żywem oparli doświadczeniu, znają najdokładniej materjał, z którym wychowawca ma doczynienia“, (Förster str. 101). Świadomość nędzy ludzkiej uzależniona znowu jest od wiary w Boga; wzniosłość, dobroć i wielkość idei Boga umożliwia nam przyznanie swej ułomności, kto zatem nie wierzy w Boga, zakrywać będzie przed samym sobą słabości gromadzące się w jego duszy. Idea Boga jest także transformatorem miłości do ludzi, jest filtrem, za którym zatrzyma się wszystko, co tę miłość kazi, zaraża bakcylem ziemskości. „Religja chrześcijańska czyni nas prawdziwymi jasnowidzami wobec wszystkiego, co pochodzi ze świata zewnętrznego i owładnąć chce wewnętrznym w nas człowiekiem” (Förster str. 164).

Ostateczna przyczyna nowoczesnej niedoli seksualnej tkwi niewątpliwie w tem, że człowiek dzisiejszy oddał się całkowicie światu materjalnemu i świeckiemu, zniknie zaś, przynajmniej w tej formie sama przez się wówczas, gdy życie duchowe odzyska z powrotem, albo co więcej pogłębi jeszcze w nowym duchu i utwierdzi dawne prawa i metafizyczne pewności. Tylko utopista może spodziewać się, że zapomocą samego moralnego apelu, lub powołania się na same względy społeczne i hygieniczne będzie można duszę tak wielu ludzi nowoczesnych, pogrążoną w zmysłowości i zorjentowaną wyłącznie fizjologicznie, doprowadzić do duchowego zapanowania nad sferą płciową” (Förster str. 169).

Wszystkie te uwagi w formie wyczerpującej a jasnej wypowiada Pius XI w Encyklice o wychowaniu „Divini illius magistri” z dnia 31. XII. 29. Oto tok rozumowania.

Szczególną uwagą obdarzał Zbawiciel na ziemi dzieci. Jego namiestnik ziemski nie może inaczej postąpić. Wśród rozgłośnych dyskusyj pedagogicznych, jego obowiązkiem jest wyświetlenie stanowiska katolickiego. Niebywałe dotąd ożywienie w dyskusjach pedagogicznych podniosło dość pretensjonalne a zuchwałe twierdzenia o nowem wychowaniu. Nie w dobrach

doczesnych jest nasz cel, ani też wyłacznie środki przyrodzone do celu przeznaczonego doprowadzą. Czynności wychowawcze muszą jednak nieomylnie prowadzić do celu, a celu wytkniętego przez Boga, a że w dodatku środki doń wiodące, sam Chrystus nam podaje, to też tylko chrześcijańską pedagogikę nam stosować wolno. Rozważymy przeto, czem jest wychowanie chrześcijańskie i na jakich opiera się zasadach, kto, kogo, w jakich warunkach i w jakim celu wychowywać może.

Kto może wychowywać? Nie jednostki, lecz ciała społeczne: dwa przyrodzone -- rodzina i państwo, jedno nadprzyrodzone — Kościół. Pierwsza jest rodzina, ale sama w sobie niewystarczająca, dlatego wspomaga ją państwo. Trzecia społeczność jest kościelna nadprzyrodzona, w swoim zakresie doskonała i najwyższa.

Jaka jest rola Kościoła w dziele wychowania? Wyraża ją sam Założyciel w słowach: „Dana mi jest wszelka władza na niebie i na ziemi. Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w Imię Ojca i Syna i Ducha Św. a oto ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata". Powiernicy swej t. zn. Kościołowi zapewnia Chrystus tem samem nieomylność. Dalsza racja zawiera się w macierzyństwie duchownem Kościoła, które polega na obdarzaniu Sakramentami św. W swojem posłannictwie duchownem Kościół nie może żadnej władzy podlegać. Pius X pisał w Encyklice Singulari quadam z 24.IX.1912., że chrześcijanowi wśród zajęć doczesnych nie wolno zaniedbać starań o życie nadprzyrodzone, że wszystko powinien skierować ku celowi nadprzyrodzonemu, a sędzią tych czynności wyłącznym jest Kościół. Manzoni pisał w swych „Uwagach o etyce katolickiej" (rozdział III), że Kościół nie jest wyłącznym właścicielem wszelkiej prawdy, ale to co w sobie mieści jest prawdziwe. Wszystkie zatem zakłady, które prawdę krzewią, Kościół popiera, niekiedy je sam utrzymuje. W jej zakres też pod pewnym względem wchodzi wychowanie cielesne. Jak to zainteresowanie kulturą posuwa i wspomaga dążenia społeczeństwa, tak mu też w niczem nie szkodzi, w niczem go nie krępuje co zbawienne. Z tego prawa i obowiązku czuwania nad sprawą wychowania Kościół zrezygnować nie może, jeśli nie chce niesprzeniewierzyć się swemu posłannictwu i nie kopać sobie grobu własnoręcznie. Prawo to i obowiązek nie zna granic czasu

ani przestrzeni ani okoliczności. Najświetniej w tym względzie wywiązywał się Kościół w średniowieczu. Dziś również poprzez wszystkie połacie globu ziemskiego, Kościół dba o wykształcenie podstawowe, średnie i wyższe.

Prawo rodziny do wychowania nie sprzeciwia się powyżej wyłuszczonemu posłannictwu Kościoła, gdyż obie organizacje pochodzą od jednego Boga. Prawo rodziny do wychowania jest dalszym ciągiem aktu płodzenia i rodzenia. Zgodnie samo głoszą zdania wszystkich narodów. W najnowszej dobie mądrze to prawo wyrzekł i przypomniał Najw. Trybunał St. Zjednoczonych Półn. Ameryki. Zdarzały się wypadki gwałcenia tych praw przez państwo, ale także obrony ich przez Kościół, to też rodziny z całą ufnością szukały obrony swych praw przeciw zachłanności państwa. Państwo może współdziałać w dziale wychowania nie tytułem ojcostwa czy macierzyństwa, ale tytułem swej potęgi w przeprowadzaniu celów doczesnych, ściślej mówiąc w możliwości dania warunków korzystnych dla wychowania, mianowicie pokoju, pewności, wystarczających pomocy szkolnych. Państwo ma bronić i popierać pracę rodziny i Kościoła, a nie wchłaniać w siebie czy zabierać ich miejsce. Wtedy zwłaszcza wolno mu działać, gdy rodzina jest albo nieudolna, albo niedoświadczona, albo niegodna, gdyż uprawnienia rodziców podlegają prawu naturalnemu, którego stróżem obok Kościoła jest także państwo. Wolno państwu uczyć tych przedmiotów i na tym poziomie, jak wymaga tego dobro jego, nie wolno jednak przywłaszczać sobie praw Kościoła, czy rodziny, albo co gorsza przeciw nim występować. Szczególną domeną państwa są szkoły przygotowawczo-fachowe dla pewnych zawodów, jak wojskowego, lub urzędniczego. Niemniej jednak strzec się powinno wszelkiej przesady czy w wychowaniu narodowem, czy cielesnem, czy technicznem ze szkodą dla wychowania całego człowieka. Podobnie dziedziną państwa jest wychowanie obywatelskie, przysposabiające do różnych czynności obywatelskich byleby także nie było w sprzeczności z zadaniami Kościoła i rodziny. Chrześcijański ustrój państwa, wyrażony w Encyklikach Immortale Dei i Sapienti Consilio, wyznacza właściwy zakres w wychowaniu młodzieży każdej z władz. Kto nie przestrzega wyznaczonych tu granic, ten przeczy boskiemu posłannictwu Kościoła i uległości państwa wobec Boga, przewraca

ład, mający panować wśród ludzkości. Kto je zachowuje, ten współdziała z Bogiem, pierwiastkiem i celem wszelkiego porządku, daje społeczeństwu wzorowych obrońców Ojczyzny, mężów, ojców, podwładnych, rodziców, synów, przełożonych, sędziów, kupców i robotników.

Środki wychowacze. Chrześcijański wychowawca pamiętać będzie zawsze, że wychowuje całego człowieka, złożonego z duszy i ciała, obarczonego skutkami grzechu pierworodnego, mającego jednak dostęp do łask Chrystusowych, które wszakże niezupełnie naprawiają konstytucję człowieka. Stąd zdrowa karność jest na miejscu, żeby prostować, co się skłania ku złemu. Umysł młody trzeba zasilać prawdami wiary, a wolę podpierać łaską Bożą i przykładami jednostek co chwalebnie walczyły ze złem otoczeniem i złemi skłonnościami we własnem wnętrzu. Nie wystarczy korzystać z środków przyrodzonych, zapominając o smutnem dziedzictwie, które każdy z nas w sobie chowa od kolebki do grobu. Nie można też młodzieży zostawić swobody niczem nieograniczonej, chociaż wolno stosować środki wychowawcze łagodne i takie, które pozostawiają jej jaknajwięcej samodzielności. Są to bowiem metody samego Boga. Mylą się pedagogowie, którzy swej gałęzi wiedzy wytaczają granice tak rozległe, że usuwają religję, a wszystkie wskazania chcieliby objąć kodeksem postępowania, we własnej głowie wymyślonym. A mylą się dlatego, że młodzież poddają jarzmu nieokiełznanych namiętności i niepokonanej pychy. Niezręcznością swoją, jeżeli nie złośliwością, tłumią tchnienia łaski Bożej i powołanie do wyższych rzeczy. Smutniejsze jeszcze są skutki działalności tych, którzy, usuwając wstydliwość, uważają, że młodzież może się stykać ze zgnilizną moralną i tak rzekomo zbroić się przeciw powabom zła. Nie uwzględniają nieszczęśni tej słabości natury ludzkiej, która najczęściej ulega nadarzającej się okazji do grzechu, zapominając, że niemal cała sztuka wychowania polega na omijaniu okazji do grzechu. Dla tej samej racji żadną miarą nie można popierać koedukacji. Jedyne miejsce współżycia obu płci jest rodzina, pozatem unikać trzeba okazji niepotrzebnego stykania się obu rodzajów. Różnic płci zacierać wbrew naturze nie warto i nie trzeba, obie się uzupełniają w legalnem małżeństwie.

Wskazania praktyczne. Najlepszem otoczeniem młodzieży

i miejscem wychowania jest rodzina. Nieproporcjonalnie mało czasu poświęca się pedagogice rodzinnej w porównaniu do wykształcenia literackiego lub fachowego. Pierwszą i najnaturalniejszą widownią działania pedagogicznego jest i powinna być rodzina. Jedną z pilnych potrzeb chwili jest właśnie to uprzytomnienie rodzicom sposobów wychowania, celów, obowiązków i środków. Wychowawcy wszyscy niech nie szukają własnej wygody, a raczej skierują swe wysiłki ku dobru dorastającego pokolenia. Szerszą płaszczyzną wychowania jest Kościół — wspólna matka wszystkich wiernych. Daje on w celach wychowawczych posiłki Sakramentalne, piękno i obrazowość swego kultu, świątyni i praktyk religijnych. Szkoła powinna dawać dalszy ciąg pouczeń rodzicielskich i kościelnych. „Jeżeli szkoła nie jest świątynią, staje się norą zbójców" (Tommaseo). Stąd niemożliwe są szkoły neutralne ani w teorji ani w praktyce. To też odrzucamy ten rodzaj szkół, jako szkodliwy. Nie wystarczy nawet uczyć religji, wymaga się, aby całą naukę szkolną przenikała myśl religijna. Postulat ten odnosi się zarówno do szkół powszechnych, jak średnich, a nawet wyższych. Trudności, które przedstawiają pozornie szkoły wyznaniowe, dadzą się pokonać. Świadczy o tem przykład pewnych krajów. Niech tylko rząd z całą sprawiedliwością sprawę weźmie w rękę. Większych ofiar potrzeba tam, gdzie rząd odmówił współpracy, a katolicy z własnych funduszów utrzymywać muszą prywatne szkoły katolickie. Tem większa należy im się za to cześć. Gdzie ani jeden ani drugi rodzaj szkół nie istnieje, katolicy niech nie godzą się z położeniem, lecz wytrwale walczą o swoje prawa. Sprawa szkolna jest sprawą religijną, sprawą akcji katolickiej. Starając się o szkołę katolicką, nie uprawia się polityki, lecz działa się w interesie religji i prawdziwej korzyści państwa. W dobrej szkole nie będzie się burzyć tego, co zbudowała religja. Kultura klasyczna będzie w niej miała miejsce poczesne. Konserwatyzm pedagogiczny trzeba pogodzić z postępami dydaktycznemi, a zawsze pamiętać o doniosłości kultury łacińskiej i filozoficznej. Kolumnami zdrowej pedagogiki są nie metody ale dzielni wychowawcy. Oni zarazem kładą fundamenty akcji katolickiej, uprawiając „sztukę nad sztukami i wiedzę na wiedzami" (św. Grzegorz z Nazianzu), Im większe niebezpieczeństwa otaczają naszą młodzież w postaci złych ksią-

żek, widowisk kinowych i teatralnych, audycyj radjowych, tem większa czujność nad młodzieżą jest wskazana. Stąd pochwały godne są owe dzieła wychowawcze, które młodzieży dostarczają dobrych książek, widowisk, dobrych czasopism. Nie znaczy to, iżby młodzież wypadało usuwać od pożycia. Nie, tylko pilnować ją trzeba i strzec złego. Ideałem wychowania dla chrześcijanina jest Chrystus sam. Całego człowieka chcemy urobić na modłę Mistrza. Dlatego chrześcijanin jest człowiekiem nadprzyrodzonym. Takie stanowisko zasadnicze wydaje się niejednemu utopijne, albo niezgodne z przyrodą i szkodliwe dla powodzenia ekonomicznego państwa. „Nie jesteśmy obcy życiu", odpowiadamy za Tertuljanem. Ze wszystkiego korzystamy co dobre, ale zawsze z miarą, nawiązując starania doczesne do zainteresowań nadprzyrodzonych. Święci Kościoła, elita z pośród wychowanków i wychowawców, pokazali jak jedno z drugiem połączyć można, bo znajdziesz wśród nich przedstawicieli wszystkich zawodów. Chrystus jest jednakże wzorem najwyższym wszelkich cnót, cudnego umiaru i obrazem doskonałego człowieka, naginającego się do żądań Boga, państwa, rodziny i otoczenia, w tem co słuszne. Wszystkie te niezrównane wzory i środki znajdują się w pięknych ramach Kościoła i w tej oprawie po nie sięgać należy.

Ks. dr. Stefan Abt.

Kult Najświętszej Marji Panny w gotyku.

(Katedra w Chartres).

Wśród wspaniałych świątyń pod wezwaniem Matki Bożej wzniesionych, jedną z najpiękniejszych we Francji jest Katedra w Chartres.

Średniowieczny kult Matki Dziewicy wyraził się w niej w sposób wybitny. Jest to zarazem pierwszy kościół poświęcony czci Marji na ziemi galijskiej, a wznosi się na krypcie, w której druidowie w przedchrześcijańskich czasach jako kapłani-ofiarnicy swego ludu i poeci zarazem hołdy oddawali „Dziewicy, która miała począć": „Virgini pariturae". Napis ten widnieje po dziś dzień w ołtarzu pieczary, gdzie zastąpił pogański stół ofiarny. W niszy nad ołtarzem króluje posąg Bogarodzicy z Dzieciątkiem na kolanach. Kopja to już tylko pierwotnej sta-

tuy, którą w r. 1793 sans - kuloci spalili na placu przed katedrą wśród dzikiego tańca wyuzdańców. Rzadkiem w dziejach maryjnego kultu zjawiskiem iest fakt, że aż dwie cudowne posągi Madonn czczone bywają w tej samej świątyni. Obie są koloru ciemnego i bardzo starożytnego pochodzenia. Jedną jest wyżej wspomniana Matka Boska podziemna, słynąca szeroko w całej Beocji łaskami. Istne morze światła rzuca złoto-pomarańczowy blask właściwy świecom woskowym na postać siedzącej królowej niebios okolonej aureolą przyćmionego odblasku wspaniałych lamp. Przybytek Najświętszej Panny w podziemiach ma coś z Katakumb w atmosferze skupienia i nabożeństwa, który tworzy jego cechę charakterystyczną. Zdawałoby się, że mniej do tej Madonny zanoszą próśb, niż wielbią Ją i kochają a ona z przeobfitej skarbnicy darów, samowładnie zlewa na swych czcicieli zdroje uzdrowień i łask.

Wybitnie proszalne cechy ma otoczenie drugiej cudownej Madonny w Katedrze. „Madonna na Kolumnie", (du pilier) jak sławna na świat cały Madonna del Pilar w Hiszpanji to przedewszystkiem: uzdrowienie chorych, wspomożenie wiernych. Zdarza się nieraz, że wchodzącemu turyście, lub przejezdnemu olbrzymia świątynia wydaje się pusta. Niechże się zbliży do tronu rozdawnictwa łask. Wiecznie tam płoną świece, palą się lampki, bezustannie goreją serca w oczekiwaniu zmiłowania. Potrójny wieniec srebrnych serc, ofiarowanych jako ex-vota tworzy upominek wdzięczności wokoło postaci Najśw. Panny. Ubrana w bogatą szatę z koroną na głowie przemawia Marja Dziewica do tłumów bogactwem stroju symbolizującym wszechwładztwo w dziedzinie łask. Olbrzymie złote serce spoczywa na Jej piersiach, drugie, mniejsze żarzy się na sukience Bożej dzieciny. Roi się od serc w tym przybytku. Całe wgłębienie za posągiem wypełnione jest ex-votami, na kształt tapety, której wzorem jedynym są serca różnej wielkości i roboty. Na ścianach i bocznych pilastrach rozpościera się dalej królestwo wdzięcznych serc; innych ex-votów n.p. rąk, nóg uleczonych, jak to zwykle bywa przy miejscach cudami słynących, niema zupełnie.

W szczegółach zdobniczych Katedry kult Marji zajmuje też pierwszorzędne miejsce. Dziedzictwem czasów rzymskich był zwyczaj ozdabiania kapiteli płaskorzeźbami. Obrazom figuralnym jest jednak nieco ciasno na niewielkiej przestrzeni, zato na por-

talach kościelnych mogła się rzeźba rozwinąć swobodniej. Wszystkie mniej więcej rzeźby portalowe XII wieku zdradzają wielkie powinowactwo, istniały też prawdopodobnie przepisy dla układu obrazów. Poza płaskorzeźbą na polach szczytowych znajdują się też posągi we wgłębieniach ukośnie ściętych boków portali, zdobią też galerje biegnące powyżej. Architektura nie posługuje się rzeźbą nigdzie tak bardzo, jak na frontach hudowli. Rzeźbiarze nie zapomnieli też o Marji Pannie. Jeden z portali, tak zwany królewski, jest wyłączniej poświęcony kultowi Chrystusa Pana, nauczyciela narodów, którego postać widnieje nad środkowem wejściem. Lecz już na prawo nad wrotami bocznemi zasiadła słodka postać Bogarodzicy a w portalu południowym zajmuje w otoczeniu świętych honorowe miejsce. Wyłączne odtwarzanie Najświętszej Panny jako Dziewicy lub młodej matki jest właściwością artystów rzeźbiarzy tej katedry i wielu innych powstałych w tej samej epoce. Rycerskie wieki średnie nie chciały dawać swej „Pani" (Notre Dame) szarpiących duszą i sercem scen boleści, tak jak pierwotne freski w katakumbach unikały obrazów Męki Chrystusowej a cieszyły oko wizją Dobrego Pasterza, Dzieciątka w żłobie lub Zbawiciela Zmartwychwstałego w chwale. Z tego rycerskiego poczucia wypływa i to jeszcze, że wśród przeróżnych czołganek, kwiatonów i innych nieodłącznych od gotyku ozdób niema zupełnie groteskowych straszydeł i fantastycznych wykrzywieńców, których tak wiele grymasuje ze szczytów Kościoła Notre Dame w Paryżu. Atmosfera grubszego żartu i błazeńskiego szyderstwa nie odpowiadała dostojności świątyni oddanej wyłącznie jako wyraz hołdu Marji Dziewicy. Co więcej nawet zwykle licznych pod staremi o ile na zewnątrz Katedry panuje w ozdobach okazała rzeżba, o tyle urok wnętrza podnosi malarstwo. Okna malowane, witraże wywołują właściwy gotyckim katedrom tajemniczy nastrój, łagodzą kontrasty i podnoszą wyrazistość części poszczególnych n. p. żeber, kapiteli.

Do najwyższego rozwoju doszła technika witraży w XI i XII wieku. Niektóre z okien Katedry w Chartres datują się z tej epoki. Chciałoby się widzieć prześliczny hołd złożony Bogarodzicy w cudownym kolorze niebieskim, lejącym się lawą szafirów z wyniosłych, prześwietlonych słońcem okien. Sposób wyrabiania tego koloru uprzywilejowanego Matki Najświętszej zatracono po wieku XII i tylko nieliczne okna mogą się nim poszczycić. Istnieje

wśród nich w południowej nawie poprzecznej jeden witraż znany pod nazwą: „Nasza Pani, piękna szklarka”. Na ciemno-rubinowem tle widnieje królowa dziewic, spowita w niebieską, fałdziastą szatę o szlachetnych linjach. Mieszkańcy miasta mieli w wiekach średnich wielkie do tej Madonny nabożeństwo i dziś jeszcze spotkać można niekiedy postać niewieścią wpatrzoną w pełni zamodlenia w witrażową zjawę. Jedną z właściwości katedry jest brak zwykle licznych pod staremi, historycznemi kościołami grobowców biskupów i dobrodziejów-założycieli nie znajdzie się w Chartres. Pięknie tłumaczy tę właściwość stary historyk Rouillard. Powiada on, że Katedra w Chartres ma zaszczyt być łożem Dziewicy, dlatego prochy żadnego śmiertelnika nie śmieją spocząć w jej podziemiach.

Artystycznie rażąca wśród szlachetnego gotyku wnętrza jest grupa przedstawiająca Wniebowzięcie Matki Bożej dłuta Bridana ponad Wielkim Ołtarzem. W ten świat piękna, ulatującego w górne sfery rzucił artysta przyciężką, bryłowatą kompozycję. Matka Najświętsza nie ma powiewności i uduchownienia średniowiecznych Madonn, Aniołom podtrzymującym w koło niej obłoki brak seraficznego ognia miłości a dolne obłoczki i pucołowate twarze anielskich dzieciaków, wyglądających z za ich pianki, przenoszą nas w czasy zwycięskiego baroku. Jest to jedyny dysonans w harmonijnej całości tej przepięknej katedry!

Mimo że miasto Chartres dawno zapomniało o swej wysoce religijnej tradycji i nie odznacza się dzisiaj wcale pobożnością w miesiącu maju zbierają się w przybytku Matki Bożej tłumy, ołtarze, Madonna na słupie, podnoże witrażu „Pięknej Pani-Szklarki” toną w gaju kwiatów i zieleni. Kadzidła unoszą w powietrzu ostre a nęcące wonie, z wysokiego chóru grzmią organy, wtórując litanji śpiewanej w kościele a złoto majowego słońca prześwieca przez szafiry i rubiny witraży, grając rozbłyskiem barw i świateł niebiańskie francuskiego gotyku „Magnificat”.

Celina Stoińska.

SPOŁECZENSTWO I WYCHOWANIE.

Zmierzch ustroju kapitalistycznego.

(Na marginesie współczesnego przesilenia).

I.

Coraz częściej słyszymy o zmierzchu ustroju kapitalistycznego. Nietylko publicyści, których moglibyśmy posądzić o skłonność do przesady, lub stronniczność, lecz także i poważni ekonomiści coraz częściej mówią i piszą zupełnie wyraźnie, że choroba gospodarcza, którą przeżywa w ostatnich latach ludzkość, będzie śmiertelną dla współczesnego ustroju gospodarczego, że wśród wzrastającej fali przesilenia zczezną i zatracą się dotychczasowe formy życia ekonomicznego, a z mroków wydobywać się powoli zaczną wsród cierpień i niepokojów współczesnych—kontury i kształty nowego porządku.

Myśl ekonomiczna przechodzi szybką ewolucję, zwłaszcza w takich okresach, jak obecny, kiedy samo życie narzuca szereg palących problemów, które domagają się natychmiastowej i trafnej odpowiedzi, grożąc w przeciwnym razie widmem katastrofy. Można zaobserwować, że w drugiej połowie XIX-go i na początku XX w. zyskują sobie prawo obywatelstwa pewne poglądy ekonomiczne, znane już i sprecyzowane w średniowieczu. Dlatego nie od rzeczy będzie, jeżeli, rozpatrując zasady i cechy charakterystyczne dzisiejszego ustroju (zwanego przez jednych: indywidualistycznym, a przez drugich: kapitalistycznym) — porównamy go w kilku najważniejszych fragmentach z ustrojem średniowiecznym, przyczem za przedmiot rozważań weźmiemy ustrój kapitalistyczny pierwotny taki, jaki ukształtował się na przełomie XVIII-go i XIX-go stulecia.

1. W ustroju średniowiecznym mamy do czynienia z warsztatem małym, rzemieślniczym, najczęściej rodzinnym, w którym pracuje mistrz cechowy, pan i właściciel warsztatu ze swoimi czeladnikami i uczniami. Wszyscy oni należą do jednego i tego samego stanu miejskiego, rzemieślniczego. Z reguły każdy uczeń zostaje z czasem czeladnikiem, a czeladnik—mistrzem, czują się oni więc, jako ludzie jednego stanu, różni tylko wiekiem i doświadczeniem.

Natomiast warsztat kapitalistyczny — to wielka fabryka. Kapitał i praca sprzęgły się tutaj również do wspólnego wysiłku, ale znajdują się one w rękach innych zupełnie warstw społecznych. Robotnik z reguły nigdy nie zostanie właścicielem fabryki. Dlatego wytwarza się między tymi co reprezentują kapitał, a tymi, którzy reprezentują pracę przepaść obcości klasowej, której nie było w warsztacie średniowiecznym — tam bowiem kapitał i praca współpracowały wspólnie w ramach jednej warstwy społecznej, tutaj zaś są rozdzielone, jak dwie obce sobie i często wrogie siły.

2. Swobodna inicjatywa w dziedzinie wytwarzania i pośrednictwa jest w średniowieczu ograniczona istnieniem specjalnych organizacyj samorządowych o charakterze publiczno-prawnym, do których należy regulowanie życia gospodarczego i kontrola nad nim. Mamy więc do czynienia z systemem nie indywidualistycznym, lecz społecznym, prywatna inicjatywa skierowana jest na tory interesu zbiorowego, prawo własności istnieje, jest jednak ograniczone w zakresie iuris utendi, aby nie przeobraziło się w ius abutendi, jest ono funkcją społeczną, a nie fetyszem.

Natomiast ustrój kapitalistyczny zbudowany został od początku na zasadach wolności pojętej w sposób anarchiczny. Ton nadaje mu filozofja liberalistyczna, która zupełną wolność w dziedzinie przemysłu i handlu, niczem niekrępowaną ze strony włady publicznej, stawia na pierwszym planie, jako swój najwyższy dogmat.

W okresie powstawania kapitalizmu pod koniec XVIII w. wszystkie organizacje samorządu gospodarczego były zlikwidowane i między państwem a jednostką produkującą i pośredniczącą (homo economicus) istniała próżnia. Koncepcja liberalistyczna wykluczała istnienie jakichkolwiek organizmów zbiorowych o charakterze gospodarczym między państwem a jednostką, państwu zaś nakazywała nie wtrącać się do tego, w jaki sposób jednostka będzie produkować, czy pośredniczyć, w jaki sposób będzie dochodzić do majątku, czy będzie tworzyć nowe, czy likwidować stare warsztaty pracy, czy będzie przynosić pomoc i błogosławieństwo innym, czy też będzie ich pochłaniać w brutalnej, bezlitosnej konkurencji.

3. W średniowieczu inny był stosunek człowieka do pro-

dukcji. Celem produkcji było dążenie do utrzymania się według potrzeb swojego stanu. Równocześnie chodziło o solidne zaspokojenie potrzeb — nie byle czem. Ambicją i dążeniem majstra było wypracować wytwór najtrwalszy i najdoskonalszy. Indywidualne zdolności majstra odzwierciedlały się w jego dziele, które z reguły nie było pozbawione pewnego artyzmu, pewnej cechy indywidualnej, tymbardziej, że było wytworem rąk jego własnych przy użyciu zwykłych narzędzi.

Kapitalistyczna wytwórczość maszynowa zmechanizowała pracę. Wprawdzie następuje olbrzymi rozwój nauk matematycznych i przyrodniczych, o całe niebo wyższy w porównaniu ze średniowieczem wzrost techniki i najrozmaitszych udogodnień cywilizacji materjalnej, tem nie mniej jednak upada równocześnie jakość wytworu.

Najważniejszym jednak zjawiskiem, które chcemy specjalnie podkreślić, jest inny zupełnie, niż w średniowieczu stosunek człowieka do produkcji. Celem produkcji staje się nie tyle wytworzenie dobrego wytworu, zaspokojenie zapomocą niego potrzeb i spełnienie przez to pewnej funkcji społecznej — lecz sam zysk, a nawet ściśle biorąc — dążenie do jaknajszybszego, niczem nieograniczonego zysku. I widzimy, jak w miarę ewolucji ustroju indywidualistycznego coraz większą rolę zaczyna odgrywać w życiu gospodarczym moment spekulacji. Początkowo kierują jeszcze życiem gospodarczym przedsiębiorcy, którzy tworzą wielkie warsztaty pracy i sami je prowadzą, później zaś typ ten coraz bardziej jest wypierany przez indywiduum handlarza, pośrednika. Pośrednictwo coraz bardziej zyskuje przewagę nad samą produkcją, dyktuje jej warunki, obniża jej wartość i jakość dla względów czysto spekulacyjnych, aż wreszcie doprowadzi do jej upadku.

4. Dochodzimy wreszcie do różnicy najważniejszej. Fundamentem ustroju średniowiecznego była nauka Kościoła katolickiego. Sredniowiecze to ten okres w dziejach świata, w którym Nauka Chrystusa wywierała przemożny i skuteczny wpływ nietylko w sferze życia indywidualnego, lecz obejmowała całe społeczeństwo ludzkie i jego potrzeby, działając również na terenie życia gospodarczego, społecznego, politycznego.

Według poglądów Ojców kościoła (które w zmienionej tylko formie, przystosowanej do czasów dzisiejszych, ujęte zostały w encyklikach społecznych ostatnich papieży) — praca ludzka nie jest towarem, lecz czynnikiem związanym z człowiekiem, który ją wykonywa, a przeto robotnikowi należy się sprawiedliwa zapłata, aby mógł wyżyć według potrzeb swego stanu, zaspakajając nietylko swoje potrzeby czysto materjalne lecz również i duchowe. Zasady sprawiedliwości winny obowiązywać również w przemyśle i w handlu, nawet przy ustaleniu ceny towaru (iustum pretium). Celem człowieka produkującego nie może być dążenie do bezwzględnego wzbogacenia się, choćby kosztem innych. Jednostce ludzkiej musi zawsze przyświecać cel wyższy, moralny, górując nad materją. Z tego założenia wychodząc, zakazywał kościół lichwy, rozumiejąc pod pojęciem lichwy w tych czasach — wszelki nawet procent od kapitału pieniężnego (z małemi wyjątkami). Z tych założeń również wypływała kontrola nad ówczesnym przemysłem i handlem, sprawowana przez organy społeczne, utrudniająca nadużycia prawa własności, uciskanie jednostek słabszych przez silniejsze ekonomicznie i łagodząca ostrze konkurencji i wszelkich konfliktów w dziedzinie społeczno-gospodarczej.

Niestety, po pewnym czasie dobroczynny ten wpływ zasad katolickich zaczyna słabnąć. W w. XVI obserwujemy w całej Europie wielką rewolucję religijną, która z czasem sprowadza za sobą potężny wzrost prądów materjalistycznych i zmianę dotychczasowych poglądów. W miarę, jak wzrastają i potężnieją prądy materjalistyczne zmniejsza się wpływ Kościoła i nauki katolickiej na zagadnienia gospodarczo-społeczne. I można śmiało powiedzieć, iż momentem największego osłabienia katolicyzmu, okresem, w którym rola jego ograniczała się do kościoła i zakrystji—była II połową wieku XVIII i I połową XIX, to jest właśnie okres powstawania i kształtowania się ustroju kapitalistycznego. W tym czasie, kiedy wynaleziono maszyny parową i przędzalniczą i stawiano pierwsze fabryki w Anglji (około 1750) wrogowie katolicyzmu panowali i nadawali ton życiu zbiorowemu całego świata „kulturalnego". W Anglji panował deizm, grube poglądy materjalistyczne i upadek obyczajów, we Francji panoszył się racjonalizm i szy-

kowała się wielka rewolucja, sfery katolickie pogrążone były w znacznej mierze w kwietyzmie, rozpoczynał się wśród nich szerzyć indyferentyzm.

Nie można się dziwić, iż w tych warunkach tezy opracowywane przez ekonomistów, oparte były na założeniach materjalistycznych i że przedsiębiorcy oraz kierownicy warsztatów powstającego pierwotnego ustroju kapitalistycznego hołdowali w życiu praktycznym pojęciom materjalistycznym, uważając pracę za towar, a ludzi za narzędzia do osiągania ich kosztem wszelkiego, choćby najbardziej nieprawego zysku. Ponieważ zaś tego towaru było dużo, gdyż w tym właśnie czasie nastąpiła masowa emigracja ludności wiejskiej do miast, a z drugiej strony państwo w myśl założeń teorji liberalistycznej nie wtrącało się w stosunki gospodarcze (laissez faire, laissez, passer), zakazując równocześnie tworzenia jakichkolwiek związków między robotnikami — przeto bezbronne masy ludowe oddane zostały na łup przedsiębiorcom kapitalistycznym.

Oto w jaki sposób scharakteryzował ten moment dziejowy wielki Papież Leon XIII, pisząc w r. 1891 w słynnej Swej encyklice Rerum Novarum:

„W ubiegłym stuleciu usunięto dawne cechy rzemieślnicze, a nie zastąpiono ich niczem nowem; w miarę zaś jak ustawy i urządzenia publiczne wyzbywały się ducha chrześcijańskiego, rękodzielnicy szli na pastwę nieludzkich kapitalistów i współzawodników niepohamowanych w chciwości. Stosunki pogorszyła nienasycona lichwa; potępiona niejednokrotnie wyrokiem Kościoła, zawsze ta sama, lubo coraz pod inną występująca postacią, przynosi nieprawe dochody ludziom żądnym zysku. Produkcja i handel stały się niemal monopolem niewielu, a w ten sposób garstka bogaczów nałożyła jarzmo prawie niewolnicze stanowi pracującemu".

A jakie to było jarzmo, o tem pouczają nas fakty i dane statystyczne wzięte z czasów ówczesnych. Robotnicy pracowali po 16 godzin na dobę, źle płatni, bez żadnej ochrony zdrowia i życia, pracowały kobiety wspólnie z mężczyznami bez ochrony macierzyństwa, dzieci od 8 lat były zatrudnione ponad siły, bat był jednym z narzędzi używanych przy warsztacie przędzalniczym w Anglji. Obojętnie przyglądało się

temu wszystkiemu państwo, nie mieszając się do „wolnej i swobodnej umowy", o najem pracy. Według teorji liberalnej, żelazne prawa natury kierują życiem gospodarczym i muszą prędzej, czy później doprowadzić do czegoś w rodzaju raju na ziemi. Interwencja więc państwa była zbyteczna. Jeżeli nawet pewna ilość słabych zostanie pochłonięta przez silniejszych, tem lepiej dla społeczeństwa, składać się bowiem będzie z samych jednostek silnych i zaprawionych w sztuce życia. A więc — laissez faire... Pod jednym tylko względem państwo wykorzystało swoją władzę — oto zakazało tworzenia jakichkolwiek związków zawodowych, jakiejkolwiek samopomocy warstw pracujących i upośledzonych. Prawo koalicji było wówczas uważane za coś w rodzaju buntu, co, rzecz oczywista, przyczyniło się wydatnie do zwiększenia istniejącego wyzysku i nędzy mas pracujących.

* * *

Wówczas nastąpił **pierwszy kryzys ustroju** kapitalistycznego.

Oprócz kryzysów sporadycznych, konjunkturalnych, które powtarzały się raz po raz w w. XIX—pierwszy wielki kryzys zasadniczy, który doprowadził do poważnych zmian i przeobrażeń strukturalnych, przechodził ustrój kapitalistyczno-indywidualistyczny w pierwszej połowie XIX stulecia. Drugi kryzys o podobnym charakterze przechodzimy obecnie.

Sądzimy, że do zadań, wypływających z naszej pracy, należy rozpatrzeć je po kolei w porządku chronologicznym. Zrobimy to w następnym artykule.

Stefan Kaczorowski.

Ze wspomnień Rzymskich.

Rzym nowoczesny bawi się tak, jak i inne, niegorsze od niego miasta europejskie: ile może, jak może, vel, według najściślejszego słownika czasów ostatnich: ile policja pozwala.

Ale i ten drugi Rzym o poważnem obliczu, który się wpatruje w prześliczne głębie swej Città Eterna i Capo del mondo—nie tylko pielgrzymuje z różańcem w ręku po siedmiu bazylikach.

Praca i cierpienie—to jego chleb powszedni. Ale nie cel. Dlatego, aby przypomnieć sobie ów cel, który jest radością najszczęśliwszą i odpoczynkiem, wyzwolonym z granic — jedynym godnym człowieka — siada sobie na ziemi i śmieje się chwilę beztrosko.

Uświęcił on oddawna zabawę i w odpowiednim momencie sam się bawi.

W pewnych czasach, szczególnie na wiosnę, po całym Rzymie rozrzucone grupy katolickich artystów, teatry, służące nietylko do ułatwiania trawienia i innych funkcyj fizjologicznych, szkoły, wreszcie stowarzyszenia parafjalne urządzają przedstawienia, koncerty, kina, „trattenimenta", gdzie się częstuje ludzi czystą nawet sztuką.

Wychodzą z cel księża, najrozmaitsi zakonnicy i napełniają gwarne sale pod słońcem elektrycznych świeczników.

Oto idę właśnie na jeden z tych wspaniałych, sądząc po afiszu dramatów, „Pro Patria", który jest wystawiony w teatrze gimnazjum św. Józefa. Są inne poważniejsze, lepiej urządzone technicznie, ale wybrałem właśnie ten, aby go porównać z amatorskiemi przedstawieniami naszych szkół katolickich.

Idę więc wesoło, odświętnie, (że się tak wyrażę) ubrany— jak na odpust. W powietrzu, nabrzmiałem już wilgocią świeżej oskoły roślinnej czuć wiosnę, lub conajmniej koniec zimy. Na malowniczych ułamkach przedpotopowych murów kwitną jakieś krzewy biało i różowo. Pod kamienicami, lub na schodach kościołów śpią w skupieniu rozmaici robociarze, napełnieni makaronem i napojami szlachetnemi. Prawdopodobnie ci, którzy nie posiadają własnych kamienic, a którym interesa w odległej części miasta nie pozwalają na drzemkę poobiednią w ewentualnie własnych zabudowaniach. Podziwiam ten prostoduszny niezwykle sposób familijnego traktowania ulicy i kamieni ulicznych.

Do snu kołysać ich musi równomierne piszczenie i zgrzyty tramwajów, trąby dzikich samochodów, huk wozów, wrzask wielu synów słonecznej Italji — niby jednostajny szum morskich fal. To ostatnie przypuszczenie napełnia mię zabobonną trwogą i zarazem uwielbieniem dla tych ludzi.

Wchodzimy do gmachu gimnazjum, które się wznosi na pięknym placu, obok powodzi kwiatów świeżych i wyniosłych palm. Sala teatralna już jest pełna. Czerni się mrowie sutann,

a białe kresy sznurów przecinają bronzowe habity zakonników. Dużo dzieci i robotników. Mam piąty rząd krzeseł. Zacząłem się pocieszać, że będę wszystko dobrze widział, ale zaraz zatruł mi ktoś całą radość zapewnieniem, że tu się za to lepiej słyszy suflera, niż aktorów. Trudno. Zresztą: Bis repetita plavent—jak powiedział Horacy w szacownej „Ars Poetica", a za nim wszyscy mądrzy ludzie, aż do dziś.

Sala jest dość duża o ładnej architekturze. Całe to olbrzymie kolegium, które miałem sposobność przedtem zwiedzić, jest zbudowane bardzo racjonalnie, nic więc dziwnego, że miejsce na teatr jest godne swego przeznaczenia.

Szczęśliwym trafem w pierwszych rzędach siedzi mnóstwo polaków. Wszędzie świecą polskie gęby i słychać polską mowę. Zapoznaję się z sąsiadami i rozpoczynam rozmowę. Ale już lampy gasną i rzecz się rozpoczyna. Rozpoczyna się wielce tragicznie, pięknie, z hukiem, blaskiem mieczów i puklerzy średniowiecznych na Bałkanach, gdzie wre walka z Turkami. Po zapadnięciu kurtyny chwila przerwy i wyczekiwane przezemnie szczególnie intermezzo musicale. Nie będę streszczał osnowy dramatu, bo po pierwsze: byłoby to nudne i zajęło wiele miejsca. Po drugie: Dramat zapowiadał się nie wesoło i po trzecie: nic nie zrozumiałem. Nie tak łatwo zrozumieć Włochów, gdy mówią „con fuoco", a tembardziej, gdy to fuoco jest robione na scenie. Oprócz tego warunki nie sprzyjały temu. Zgodnie z zapowiedzią, budkę suflera zamieszkiwał duch wielce niespokojny, który w gestykulacji wyciągał ręce tak wysoko, że można było policzyć, ile ma palców, a podpowiadał szeptem tak przeraźliwie głośnym, że najpierw trzeba było wysłuchać jego denerwującego głosu, a potem powtórzenia tego z wściekłym zapałem. Chciałem zaradzić złemu przez wprowadzenie systemu otwierania i zamykania kolejnego uszu, ale ręce miałem zajęte, gdyż krzesło (wyściełane), na którem siedziałem było wadliwie skonstruowane i z pośrodka sterczały sprężyny okropnie twardę. Ograniczę się do zaznaczenia, że cała sztuka była grana dobrze, lepiej niż w jakimś bydgoskim, lub kieleckim teatrze. Należy przypisać to temu, że artyści rekrutowali się nietylko z wychowanków, ale i z byłych wychowanków, ludzi dorosłych i aktorów może zawodowych. Jedna z ról była nawet w obsadzie zakonnika, wychowawcy tego kolegjum. (By-

ła to rola niepochlebna. Już drugi rok grał on największego łotra dramatu. Należy przypuszczać, że czynił to raczej z miłości bliźniego, jak z ukrytych uzdolnień w tym kierunku). Dekoracje i stroje doskonałe.

Czasem tylko zdarzały się drobne wypadki. Gdy np. słyszano głos suflera, a aktora po nim nie — gdy publiczność zaczęła się śmiać w najtragiczniejszem miejscu (żadną miarą nie był to śmiech histeryczny), lub gdy wreszcie w przetragicznej scenie finału, kiedy na tle pięknych dekoracji, przedstawiających śnieżną noc w górach, rozgrywała się akcja decydująca i bohater miał zginąć, naraz spadła z góry, niby biały meteor— dwufuntowa wiązka mżącego dotąd prawidłowo śniegu i upadłszy na ognisko nie roztopiła się, ani zapaliła według praw fizyki starożytnej i nowoczesnej. Speszyli się wtedy biedni artyści, a publiczność nie omieszkała porozumieć się ze sobą, co było z papieru: ogień, czy śnieg? Warto było przecierpieć wszystkie krew mrożące w żyłach okropności, wziąwszy pod uwagę, że zawsze akt tragedji kończył się, a po nim następowała przerwa, sowicie wynagradzająca wszelkie udręki. Dla tych antraktów i ja tu głównie przyszedłem i o nich chcę pisać. Zaraz po pierwszej części wszyscy zdołali ocenić przewagę antraktów nad tem, co wypełniało ciemne przestrzenie międzyantraktowe. Wytworzył się nastrój bardzo wesoły, który czyhał na sposobną chwilę, aby wybuchać śmiechem.

Z paszcz greckich marmurowych masek płynęło cicho czerwone światło, spełniając rolę lampek orjentacyjnych i stylowo dekorując salę.

— Ksiądz prawdopodobnie będzie biskupem!—Mówi jeden młody ksiądz do drugiego młodego księdza.

— Skąd ta niebiańska myśl?

— Bo z okrągłej gęby tej maski, co wisi nad waszym rzędem, leje się światło i pada szkarłatną plamą wprost na czubek głowy księdza i wszyscy, co z tyłu siedzą, mają kapitalne złudzenie, że to biskupia piuska... Może to prorocze?

— Dałby Bóg... Dałby Bóg...

— Cooo... To ksiądz ukrywa w sercu pragnienie godności kościelnych?! Przecież to przeszkadza w kanonizacji. Ratujcie się póki czas...

— Eeee — To już mię najmniej martwi, aby to pierwsze... się sprawdziło!

Gwar odmierzonego wprawnie zdumienia ze wszystkich stron, potem znów głos tego z purpurą na głowie:

— Szczerość, szczerość przedewszystkiem!

— Ach prawda! Toż ksiądz jest szczery heroicznie, czego właśnie potrzeba do kanonizacji! — Wszystko w porządku!

Z innej strony inna wesoła rozmowa.

— Widzę, że jesteś w siódmem niebie?

— Tak, w antraktach!

Chcę przyklasnąć temu powiedzeniu, ale już się zaczyna intermezzo, z którego nie mogę uronić żadnego szczegółu. Przed cudną kurtyną, przedstawiającą kampanję włoską—z szeregami pinji i cyprysów i oceanem blasków zachodzącego słońca, na której tle terasa marmurowego pałacu i posągi — wychodzi szereg chłopców.

Włosi są bardzo piękni, jak wiadomo. Szczególnie zaś mali chłopcy. Ale ten, kto nie widział nigdy południowców, nie może mieć pojęcia o tem, jak oni są rzeczywiście piękni. Nie dziwiłem się wtedy sztuce włoskiej, tym olbrzymim galerjom obrazów, do których wchodząc truchlałem, niby w obliczu czegoś strasznego.

Ustawili się kołem na tle swojej ziemi słonecznej—światłem oblani zewsząd, sami światło siejący, choć skóra ich opalona, na brunatne złoto, przez które rumieni się krew. Patrzyłem na te rysy „purissime", tak regularne, że się nie chce wierzyć. Gdy się je widzi odczuwa się ich harmonijną doskonałość, gdy się ich straci z oczu wymykają się z wyobraźni zupełnie, stają się — „nieprzypomnialni". A przytem każdy z nich nowym typem był, odrębnym niejako rodzajem. Stali przedemną, jak kwiaty wiosenne, jak posągi, wyrzeźbione siłą nadludzkiego genjusza w nieskażonym ciele—piękne—pełne młodzieńczości, życia i zdrowia. Zdawało mi się, że okruch niebieskiego światła padł mi na oczy, że widzę rozśpiewanych drużyn niebieskich przedstraże...

Płynęły piosenki narodowe włoskie. Dźwięczne, żywe, o wypieszczonej melodji, płonące dziwnym południowym sentymentem—z tych twarzy, z których każda była pieśnią. Ubrani w narodowe stroje z rozmaitych stron Włoch, po każdej strofce

rozpoczynali przy dźwięku kastanietów i innych metalowych instrumentów jednodźwiękowych tańce swoiste, bardzo proste. Akompanjował im jeden z profesorów, Braci Szkolnych*) na fortepianie.

Kilkakrotnie jeden mały chłopaczek, prawie dziecko śpiewał dowcipne ad hoc piosenki, których melodja była splotem motywów z najsłynniejszych aryj operowych. Co za świetnie postawiony głos miał ten chłopak i co za szkołę! Ciągnął po kilkanaście sekund wysokie końcowe „a" tak czysto i głośno, że publiczność huczała, jak może, bijąc brawo i wołając bis!

W czasie drugiego i innych antraktów znów śpiewy solowe, duety chłopaków, poprzebieranych za chińczyków, lub deklamacje wdzięczne, wesołe bez cienia tremy. Widać było w każdym geście tych dziecinnych rączek dwutysiącletnią kulturę, co „do kołyski już dżdży przez podania". Nie mogę wyczerpać bogactwa kombinacji nadprogramowych, boby mi miejsca nie starczyło i czytanoby mię dłużej, niż ja siedziałem w teatrze. A siedziałem od obiadu do wieczora późnego.

Powoli prysła ta zimna i pełna oczekiwania na odległość powaga, jaką zwykle audytorjum darzy scenę — estrada weszła na widownię. Na balkony wychodzili mali aktorzy w wspaniałych strojach albańskich i tureckich, nie mogąc się doczekać swego wystąpienia w mrokach kulis. Najpocieszniejsze było to, że byli oni, co jest zbytnio zrozumiałe, weseli, a tymczasem twarze ich, ucharakteryzowane na smutno i tragicznie czarnemi zmarszczkami wyrażały przy śmiechu coś zdumiewającego.

W czasie ostatniej przerwy wystąpiło znów na podjum z dziesięciu chłopców starszych, w szkolnych już ubraniach i rozpoczęło unisono poważnie śpiewać jakąś piosenkę, której refren kończył się zawsze sylabami „pi-pi-ru-li". Po prześpiewaniu tej piosenki o dość zwykłym, choć ciekawym takcie, wydłużonym niezmiernie, zabierali się do wyjścia... Nagle przeciska się przez krzesła starszy jegomość, giestykulując żywo

---

*) Wielka organizacja zakonna, mająca za cel prowadzenie szkół chrześcijańskich. Przez ślub wstrzymują się od kapłaństwa. Chodzą w sutannach czarnych. Są wszyscy bardzo wykształceni i wychowują przeważnie inteligencję. Rozgałęzieni szeroko we Francii, Włoszech i krajach południowych Europy.

i krzycząc pod adresem śpiewaków. Gdy się zbliżył do światła, poznałem w nim świetnego aktora monologu, wypowiedzianego na ubiegłej przerwie, tylko ubranego w elegancki frak. Wywindowawszy się na wzniesienie, kładł coś w uszy chłopców, już go znających. Zrozumiałem, że wymawia im marny śpiew i oburza się na profanację muzyki. On ich zaraz nauczy śpiewać. Otwiera szapoklak, kładzie go na głowę, podnosi batutę i rozpoczyna się znów ta sama piosenka. Ale już stokroć sprawniej to idzie. Fortepian więcej ma życia, chłopaki drą się znakomicie, a sam dyrygent wyprawia rzeczy dziwne. Wymachuje rękomo, nogami, sobą samym, śpiewa razem z chórem, wpada w ćwierciach taktu, łamie go, a misternie jednoczy się przy finałach, sypie dowcipami. A ciągle przy końcu powtarza się główny motyw: „Pipiruli - pipirula", do którego rymuje się rozmaicie wesoły śpiew.

Dyrygent ów jest, jak się dowiaduję, profesorem śpiewów w gimnazjum, a zarazem autorem tych imprez i reżyserem teatru. Poznaję go, bo w tamtym roku aktorzy po przedstawieniu składali mu bukiet kwiatów. Morowy chłop, wesoły, pełen życia, a choć bawi wszystkich własnym kosztem, po sprawności i doskonałym porządku widać, że ma autorytet i cieszy się sympatją wśród uczniów.

Gdy oni tak śpiewają, rozlega się w mrocznej części teatru jakiś wrzask. Zrazu podobny do nieartykułowych wykrzykników nadzwyczajnie uradowanego człowieka, potem do odgłosów, jakieby wydawał osioł, gdyby chciał udawać beczenie kozy, w końcu do pierwszego i drugiego razem. Wrzask rośnie i między krzesłami idzie śpiesznie do estrady wysoki chłopak.

Na głowie ma słomkowy, sztywny kapelusz, króciutkie spodnie, czerwone pończochy, w ręku ze trzydzieści książek, spiętych rzemieniem. Idzie w podskokach, kłania się zdaleka w stronę kapelmistrza, jakby dobry znajomy. Ten, zdumiony, wstrzymuje śpiew, który i tak został zagłuszony okrzykami nieoczekiwanego gościa. Twarz dyrygenta zwraca się na niego, z niemym pytaniem: A co to takiego?

Rozpoczyna się prezentacja (jednostronna i przymusowa).

Chłopak, jak widać uczeń, dążący do szkoły potrząsa mocno dłoń profesora i zachłystuje się śmiechem, który połyka grubemi kawałami z rykiem zgoła baranim. Twierdzi, że zna go dobrze

jako sławę muzyczną i pragnie od niego się nauczyć cudownego śpiewu „pipiruli". Ten, patrząc na jego twarz, tryskającą czerstwą, rozkoszną głupotą—na obleśną twarz zadowolonego z siebie bałwana, rozjaśnia powoli marsowe oblicze. Ta gęba ciągle rozwarta, przekreślająca czerwoną linją całą twarz od ucha do do ucha, piosenka dla dzieci, trzymane z książkami, zmuszają go do pobłażliwego uśmiechu. A rozkoszna małpa nagli go, wyciągając ogromny budzik z zapazuchy, którego wskazówki zbliżają się do szkolnej godziny. Profesor więc godzi się z losem. Z zapałem nałogowym zaczyna lekcję. Ale uczeń okazuje się pojętym w sposób nieprzewidziany. Miesza wszystko, drze się, jak stado bawołów, osłów i szympansów, co chwila przerywa śpiew, aby opowiadać swoje szkolne przygody, wierci się, przestępuje z nogi na nogę. Proponuje, mimo energicznego protestu, rozwiązywanie zadań arytmetycznych.

— Panie — prroofesorze— ale ja mam doskonałe zadanie... Bazylika św. Piotra ma 138 m. wysokości, 186 m. i 36 cm. długości. Ile lat ma zakrystjan?

— Ma — come si pno — Skąd ja mogę!..

— A ja wiem!

— Heee...-No ile?—67!!!

— Jakim sposobem otrzymałeś tę wiadomość?

— Ja się pytałem samego zakrystjana i on mi powiedział... Ha, dobre zadanko, co?—

Zakrystjan od św. Piotra, który był też na sali, musiał się czuć nieco skonfundowany... Po tympodobnych hecach dyrygent zwraca się do publiczności. Nikt się temu nie dziwi, bo wszystkie lody już dawno złamane. Znamy się, jakbyśmy razem grali.

— Teraz, — rzecze — zaśpiewa sama publiczność!

O dziwo! Pod ruchami batuty, jak czarodziejskiej laseczki, — gdy chór milczy cała widownia rozbrzmiewa tą samą piosenką... Pipina, pipiruli — un motivo fa cosi... Przypuszczam, że pomagali w śpiewie dość trudnej, choć osłuchanej piosenki chłopcy, porozrzucani między widzów... W każdym razie sukces wspaniały! Kursuje radosna nowina (prawdziwa, lub nie), że kardynał,*) obecny na przedstawieniu na balkonie też wykrzykiwał: Pi pi ru li!

---

*) kard. Vanutelli, sędziwy staruszek, niedawno zmarły.

Dyrygent żegna nas zapewniemiem, że jutro już śpiewać będzie tylko sama publiczność, bez chóru. Zagłuszamy go oklaskami bez końca.

Wychodzę trochę oszołomiony, pełen wrażeń najrozmaitszych. Wieczór już zapadł, mleczne gwiazdy latarń rozświecają nam drogę. Naprzeciwko krzykliwie przyciąga oczy drgająca, tysiącem lampek upstrzona, zielono-czerwona reklama. Niechcący zaczepiam o nią oczyma. To kabaret. Ten sam, co na całym świecie, zawsze jednaki, chełpiący się swoją erotyczną parafjańszczyzną, trzygroszowym dowcipem i nudą, rozpędzaną bezskutecznie paradą przystojnego mięsa. Właśnie wylewał się z niego ogromny tłum ludzi. Trudno mi było to w tej chwili zrozumieć, ale przyszedł mi w pomoc werset Pisma. „Infinitus est numerus stultorum...”

Dr. Tadeusz Kordyasz.

Na froncie walki

Ostry ton antykatolicki socjalistycznego „Robotnika" — Ciekawa metoda: łączenia katolicyzmu z sanacją — Bezczelność — Metody inteligencji żydowskiej — Odruchy społeczeństwa przeciwko sanacji — Związek paziów w Polsce i jego przewodniczący — Nasz sojusz z Francją — Zagadnienie kryzysu ustroju kapitalistycznego.

Zwracaliśmy już w swoim czasie uwagę na pewnego rodzaju zmianę tonu socjalistycznego „Robotnika” w stosunku do religji. Dawniej redakcja tego pisma trzymała się jeszcze jakich takich norm przyzwoitości i albo nie omawiała wcale zagadnień religijnych, albo też starała się przynajmniej pisać o nich krótko, zwięźle i rzeczowo. Zwykle w Dzień Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy pojawiał się artykuł wstępny, dość mętny i wodnisty ideowo, zawierający jednak pewne ukłony w kierunku tej uroczystości: wspominający coś o porównaniu dnia z nocą, o wiośnie, o dawnych świętach pogańskich, zastąpionych potem przez chrześcijańskie i t. d. Widocznie redakcja pisma liczyła się z faktem, że czytają je rzesze robotnicze, chociaż socjalistyczne, lecz tem nie mniej przywiązane tradycyjnie do świąt obchodzonych od wieków przez nasze społeczeństwo.

Ostatnio jednak w redakcji „Robotnika” musiał wziąć górę kierunek bardziej nieprzejednany w stosunku do religji, może zwiększył się w jej gronie procent mniejszości narodowej z 90 na 99 i to tej mniejszości, kt ra, domagając się stale od wszystkich innych narodów świata ogromnej w stosunku do siebie tolerancji, odznacza się sama zoologiczną wprost nienawiścią do Chrystjanizmu... Może panowie z „Robotnika”, obserwując swoich czytelników, doszli do przekonania, że jest to element tak niemrawy i zdeklasowany kulturalnie, że można wobec niego nie krępować się i spokojnie deptać po tradycyjnych chociażby obyczajach, które w nim panują. Dość, że w numerze Wielkanocnym „Robotnika” na pierwszej kolumnie mamy brutalny, antyreligijny artykuł wstępny i bezczelny bluźnierczy wiersz. W artykule wstępnym między innymi głupstwami, zaczerpniętymi z poglądów socjalistycznych w ujęciu znanym na Zachodzie około r. 1850, 60, czytamy następujące twierdzenia:

„Wprawdzie Kościół poucza, że Chrystus przez sam fakt zmartwychwstania już dokonał był zbawienia ludzkości i że od samej ludzkości zależy, by przejęła się nauką Chrystusa i dostąpiła zbawienia. Ale 2000 lat dziejów ludzkich wskazuje aż nadto jasno i dobitnie, że rozwój idzie w kierunku wręcz odwrotnym, że im bardziej oddalamy się od ery Chrystusa, tem mniejszy staje się wpływ Jego nauki na życie jednostek i zbiorowości ludzkich.

Nic może jaskrawiej nie oświetla tej ucieczki od Chrystusa jak właśnie święto zmartwychwstania Chrystusa. Gdzież podziała się idea, treść duchowa tego święta? Burżuazja bawi się i obżera aż do rozpuku, dla świata pracy Wielkanoc jest w najlepszym razie odpoczynkiem od pracy, a dla bezrobotnych dalszym ciągiem bezrobocia Z pięknej, wzniosłej treści pozostała czcza forma obrzędów kościelnych. Duch Chrystusowy odleciał, idea Chrystusowa znikła.

My socjaliści dobrze wiemy dlaczego tak się stało i tak stać musiało. Wiemy, że rozwój ekonomiczny świata, ślepy i głuchy na nauki moralne, szedł własną drogą, grzebiąc w swym pochodzie najszczytniejsze hasła, najpiękniejsze wzloty ducha, najcudniejsze marzenia.

Wiemy, że zbawienie ludzkości nie przyjdzie od żadnego z kościołów, od żadnego zbawcy. Wiemy, że ludzkość, rozbita i skłócona, jak nigdy, pożarłaby się nawzajem przy akompanjamencie modłów religijnych, gdyby nie fakt epokowego znaczenia, gdyby nie powstanie nowoczesnego proletarjatu, który ideę zbawienia ludzkości wykuwa codzienną swą pracą, walką i ofiarą, wspartą o świadomość swego posłannictwa, które brzmi: wyzwolenie klasy pracującej musi być dziełem samej klasy pracującej.

A wyzwolenie klasy pracującej — to —zbawienie ludzkości”.

Zdawało nam się dotychczas, że powstanie proletarjatu, to jest ludzi pozbawionych całkowicie własności, a nawet ostatnio pracy z powodu bezrobocia, że jednym z najfatalniejszych skutków błędów tkwiących w ustroju kapitalistycznym, wywołanych odrzuceniem nauki ekonomicznej Kościoła. Tymczasem „Robotnik” poucza nas, że fakt ten sprowadzi zbawienie ludzkości. Jak to autor rozumie? Może w ten sposób, że zbawienie świata nastąpi wówczas, gdy zamiast kierujących gospodarstwem i finansami dotychczasowych kapitalistów, przeważnie żydów—rządy te obejmą—komunistyczni komisarze, również w olbrzymiej większości żydzi... Jednym słowem—powrót do przestarzałej teorji Marxa: im gorzej, tem lepiej. Im gorzej będzie robotnikowi, tem prędzej nastąpi rewolucja, Lecz co ta rewolucja przyniesie, co z niej wyniknie, nad tem nie zastanawia się już mądry publicysta...

Drugim wyczynem jest wiersz, będący bluźnierczą apostrofą do Chrystusa, któremu zarzuca autor, że nie powstał z martwych, aby rozprawić się z kapitalizmem. Niesłychany, bezczelny wybryk jakiegoś młodocianego izraelity.

Bardzo znowu charakterystycznym przyczynkiem jest artykuł wydrukowany w № 126 tego organu socjalizujących żydów. „Robotnik” podaje w nim rękę osławionemu publicyście i oszczercy religji Boyowi-Żeleńskiemu. Boy napisał w „Wiadomościach literackich” o „okupacji naszego kraju przez siłę i czynniki klerykalne”. „Robotnik” zarzuca mu, że:

„Są to, naturalnie, rzeczy ubolewania i potępienia godne, chociaż bynajmniej nie... rewelacyjne. Ale obrazki klerykalnej „okupacji”, malowane wyraźnie przez Boy'a, nasuwają z konieczności refleksje o... innej „okupacji”, w której ramach „okupacja” zachłannej ciemnoty doskonale się czuje i pomyślnie rozwija. Pomijając pewne szczegóły, obiedwie „okupacje”, szerząc się nad Polską, żyją ze sobą bardzo zgodnie i uzupełniają się wzajemnie... Przecież właśnie z taką gorliwością kultywowana przez czynniki klerykalne ciemnota i tępota mas stanowią idealny grunt dla ogłupiającej już do cna demagogji agentów tej „innej” „okupacji”, która z analfabetyzmu i nieuświadomienia najobfitszy zbiera żer... Zresztą, ustępują już nawet rozbieżności w szczegółach, ciałem się staje „uzgodnienie” zupełne, tam gdzie dotychczas nie było. O tem właśnie mówi... ustawa o podatku wyznaniowym, charakterystyczne poprawki „sanacyjnego” ks. Czuja do ustawy szkolnej itd. W razie dalszych potrzeb — rolę pośredników skutecznie odegrać mogą Radziwiłłowie i Steccy, tudzież inni hrabiowie i szambelanowie papiescy. Nil desperandum!... (nie traćcie nadziei!).”

Nie zajmowalibyśmy uwagi czytelników tymi bzdurami, pisanymi zresztą z całą świadomością i złą wolą, gdyby nie były one tak bardzo charakterystyczne i nie odsłaniały zupełnie wyraźnie taktyki naszych socjalistów. Oto chcą oni w opinji mas sprzęgnąć niejako Kościół z sanacją i uczynić go odpowiedzialnym za skutki rządów sanacyjnych, aby w odpowiednim momencie, gdy zmieni się konjunktura polityczna, oskarżyć Kościół i katolików przed społeczeństwem. I pomyślmy tylko, taktykę tę uprawiają ci sami panowie, którzy w r. 1926 wspólnie z obecnymi sanatorami urządzili zamach stanu! Gdyby nie P. P. S. „przełom" majowy nie udałby się według wszelkiego prawdopodobieństwa. Ta sama P. P. S. zmieniła obecnie orjentację i... poszukuje winowajców. Iście żydowska bezczelność!

Trzeba jednak przyznać, że istnieją istotnie nieliczni wprawdzie katolicy, którzy ułatwiają robotę radykałom i wrogom Kościoła przez wytwarzanie pozorów współdziałania pewnych organizacji katolików z „sanacją". Opinja katolicka winna zdać sobie sprawę, że jest to robota b. niebezpieczna i odpowiednio na to reagować.

Mówiliśmy o metodach żydowskich. Bardzo trafną ich charakterystykę daje nawrócony dawny wolnomyśliciel, znakomity pisarz włoski Papini w książce p. t. „Gog" (Gog i Magog—apokaliptyczna nazwa antychrysta. (Apocal. XXVII), wkładając w usta inteligentnego żyda słowa następujące:

„Ludzie niszczą się żelazem, albo kupują się złotem. Nie mogąc użyć żelaza, żydzi szukali ratunku w złocie, a posiadłszy złoto, stali się panami ziemi. Ale poczuwszy się na siłach, żydzi zapragnęli zemsty nad „gojami", złoto więc nagromadzone w skarbcach żydowskich bankierów stało się narzędziem zemsty. Zemstę zaś wywierają żydzi przedewszystkiem przez poniżanie, sponiewieranie i rozkład ideałów „gojowskich", przez niszczenie tych wartości, które stanowią istotę i rdzeń chrześcijaństwa. Od stu z górą lat inteligencja żydowska nic innego nie robi, jak tylko podcina systematycznie i opluwa najdroższe wierzenia chrześcijan, filary i podstawy cywilizacji chrześcijańskiej.

Z chwilą, gdy żydzi uzyskali możność swobodnego pisania, wszystkie wiązadła gmachu cywilizacji chrześcijańskiej pękają i cały gmach grozi zawaleniem. Wszyscy uczeni i pisarze żydowscy, udający Polaków, Niemców, Francuzów itp., piszący swe dzieła w rozmaitych językach, mają wspólny cel, mianowicie: poddawać w wątpliwość prawdy uznane, poniżać to, co się wydaje czystem, zachwiać tem, co stoi mocno, ukamienować to, co doznaje szacunku."

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że u nas wpływ destrukcyjny żydowstwa na naszą kulturę ustawicznie wzrasta w miarę, jak osłabiamy się ciągłymi walkami wewnętrznymi i bezcelowym burzeniem pozytywnych instytucji naszego życia zbiorowego.

Możnaby przytoczyć tysiące przykładów tego bezcelowego niszczenia i osłabiania społeczeństwa, poczynając od rozmaitych metod „wychowania państwowego" poprzez wprowadzanie do zbioru harcerskich piosenek obozowych wojewody Kostka-Biernackiego, jako ideału dla polskiego harcerza (!), a kończąc na osobliwej opiece nad wychodźtwem polskim we Francji przez narzucanie jego starym organizacjom nasłanych przewodniczących za pomocą subwencjonowanych organów prasowych.

Już nawet w obozie sanacyjnym odzywają się głosy jednostek bardziej krytycznych i odważniejszych, że tak dalej być nie może. Tak np. w sanacyjnej „Gazecie Podlaskiej" p. St. Wąsowski, mianujący się stuprocentowym piłsudczykiem, zamieszcza list otwarty, w którym między innemi czytamy:

„Do głosu dochodzi dzisiaj—szesnasta brygada—Panie Dyrektorze—szesnasta, nie pierwsza już i nie czwarta nawet. Ludzie, co wczoraj jeszcze wyznawali jednych bogów, dzisiaj, jako piłsudczycy rozkazują, ich słuchają, przed nimi się płaszczą, bo oni zaczynają stanowić siłę. Zmiotą każdego, choćby z najpierwszej brygady — o ile im się narazi. A żąda się od nich bynajmniej nie zrozumienia, zespolenia z ideologją marszałka; żąda się od nich tylko spalenia za sobą mostów, publicznego oplwania tego, co wczoraj adorowali. Ideologja? Na co im ona! Chyba, aby była argumentem w sporze, coś w rodzaju epitheton ornans".

— — — — — — — — — — — —

„Już zaczyna się wytwarzać sfera ludzi na indeksie, ludzi zapowietrzonych. Są to ci, którzy nie idą za tą szesnastą brygadą. Powoli zaczną ich unikać znajomi: jedni—bojąc się o siebie, drudzy — o swoich. Już się wytworzyła grupa partji na indeksie, partji zupełnie legalnych."

— — — — — — — — — — — —

„Sprawiedliwość? Fair play? Nie może być mowy o nich tam, gdzie przymyka się oczy na własnych ludzi, ale bacznie obserwuje się to, co robią przeciwnicy."

— — — — — — — — — — — —

...„Bo my chcemy, aby przy stuprocentowej lojalności do państwa i stuprocentowem oddaniu się wskazówkom marszałka — abyśmy mieli wolność krytyki, wyznawania głośnego swoich przekonań, abyśmy przytem mogli nie widzieć, jak strach przyziemny i korzyści materjalne zaczynają odgrywać dominującą rolę w naszych stosunkach."

I rozpoczyna się już gdzieniegdzie nawet czynna reakcja przeciwko narzucaniu organizacjom społecznym, nawet tworzonym i organizowanym pod hasłami sanacyjnymi, pewnych ludzi i pewnych decyzji. Dnia 9-go kwietnia odbył się w Warszawie ogólnopolski zjazd podoficerów rezerwy, o którego przebiegu pisała „Gazeta Warszawska":

„Zjazd był bardzo silnie obesłany, gdyż przybyło nań około 600 delegatów ze wszystkich okręgów. Panowała atmosfera bardzo naprężona. Po oficjalnej części rozpoczęły się obrady komisji: mandatowej i komisji-matki, do której mieli wstęp tylko prezesi okręgów. Delegowany celem przeprowadzenia zjazdu po myśli „sfer miarodajnych" jen. Górecki, nie został do komisji zaproszony. Dopiero na osobistą jego interwencję został wpuszczony do sali obrad komisji po kilkunastominutowem wyczekiwaniu pod drzwiami na decyzję przewodniczącego. Decyzja była przychylna. Wiadomo: względy grzecznościowe.

Komisja-matka wysunęła dwie kandydatury na prezesa Związku: p. Jakubowskiego, dotychczasowego prezesa i adw. Perzyńskiego, senatora BB. Jen. Górecki starał się forsować pogląd, że kandydatura Jakubowskiego jest „szkodliwa".

W zarządzonem przez przewodniczącego glosowaniu zwyciężył dotychczasowy prezes, p. Jakubowski, za którym opowiedziała się większość delegatów.

Zjazd zakończono wyborem członków zarządu i komisji rawizyjnej, dokonanym w burzliwej atmosferze. Przeciwnicy nie szczędzili sobie zgryźliwych uwag, przedstawiających we właściwem świetle stosunki, panujące w Federacji.

Według krążących pogłosek, w czasie obrad komisji-matki, p. Jakubowski, oburzony do głębi metodami i taktyką, stosowaną przez jen. Góreckiego i jego adherentów, zrezygnował z orderu „Polonia Restituta", otrzymanego za pracę niepodległościową, składając go na ręce jen. Góreckiego.

Jak widzimy, w przysłowiowej zgodzie w obozie sanacyjnym coś psuć się zaczyna".

A jak karykaturalnie wyglądają niektórzy przedstawiciele sanacji, przykładem może służyć fakt, opisany przez socjalistyczny „Robotnik":

„Książe Albrecht Któryśtam Radziwiłł, Pan na Nieświeżu i Bógwiegdzie, który wsławił się niedawno nadaniem tytułu nadwornego blacharza pewnemu starozakonnemu, zamieszkałemu we włościach książęcych dał znać nanowo o sobie, tym razem jako prezes Związku Paziów w Polsce.

Z okazji wyświęcenia prawosławnego księdza Sawwy Sowietowa na Biskupa lubelskiego, Związek Paziów w Polsce przesłał za podpisem swego prezesa, księcia Albrechta Radziwiłła, serdeczny list gratulacyjny no-

wemu biskupowi, jako że obecny dygnitarz kościelny, syn dygnitarza świeckiego w Rosji carskiej, za młodu był paziem, absolwentem korpusu paziów.

Donosi o tym wzruszającym objawie solidarności paziowskiej jedno z pism rosyjskich, ukazujących się na terenie Polski. Wdzięczność należy się temu pismu za przypomnienie światu, że w Polsce Niepodległej, 15 lat po upadku caratu, pod przewodnictwem arystokraty polskiego istnieje wszechrosyjski związek paziów carskich, i że przewodniczącym jest sam książę Albrecht Radziwiłł, gospodarz słynnej uczty z przed 5 laty, w którego zamku poczęła się polityka Nieświeża i Brześcia".

Wdzięczność należy się żydkom z „Robotnika", że wydobyli ten fakt usłużnie z pyłu zapomnienia. Pomyślmy tylko Co za wzruszający objaw poszanowania tradycji. Ileż to lat upłynęło od upadku caratu, a ks. Albrecht po dziś dzień uważa się nadal za pazia... ba! — za przewodniczącego wszystkich paziów w Polsce. I mówią, że arystokracja nasza jest lekkomyślna, zmienna i niewierna swoim ideałom... Dobrze jeszcze, że tego kapitalnego księcia nie kreuje „Robotnik" na wybitnego przedstawiciela idei katolickiej w Polsce...

* * *

„Robotnik" zamieszcza czasami kawałki wspaniałe... i to samo „Gazeta Polska". Niedawno czytaliśmy tam wspomnienie, zacytowane z „Niepodległości", „czasopisma poświęconego badaniom najnowszych dziejów Polski". Wspomnienie to mówi o pobycie marszałka Piłsudskiego („Ziuka") w Japonji w r. 1905 i o pewnym obiedzie, podczas którego podano clou de la reception—ryby na surowo. Oddajemy głos autorowi:

„Zdziwił mię trochę pośpiech, z jakim po dłuższej przerwie tę rybę podano każdemu z nas z osobna, na małych tackach lakowych, na których ustawione były trzy małe spodeczki z trzema gatunkami sosu — ostrego, słodkawego, kwaskowatego i słonawo-gorzkawego. Ryba, wielkości dużej sielawy lub średniego śledzia, o złotawej łusce, miała skórę odwiniętą pod siebie, a mięso pocięte w cienkie płatki, ładnie obok siebie ułożone na kośćcu, z głową i ogonem nietkniętemi. Zaczęliśmy temi pałeczkami brać kawałki jeden po drugim i, umoczywszy w coraz to innym sosie, próbować który lepszy. Ale smak surowizny nie mógł być zagłuszony przez żaden. Gdy się zabierałem do przełknięcia trzeciego kawałka, patrzę, a moja rybka rusza pyszczkiem... Przeniosłem wzrok na sąsiednią rybkę Ziuka — to samo, dwie dalsze także. Smakołyk stanął mi w przełyku. Patrzę dalej na swą rybkę, a ta otwiera i zamyka pyszczek cztery czy pięć razy, a potem zaczyna bić ogonem—raz, raz, raz... Spojrzałem w bok na Ziuka — oczy mu wpiły się w ruszający się ogon jego ryby i widzę niesamowity

grymas ust. Ale trudno—wypluć nie można, bo zanadto celebracji, twarz gospodarza i naszych kelnerek wyraża niebiański zachwyt, a połknąć ani rusz. Wtem Ziuk syczy przez wąsy—macie wódkę? Skoczyłem do szafki w ścianie, wyrwałem butelkę koniaku i nalałem pół szklanki. Pierwszy raz widziałem, że Ziuk potrafi wypić duszkiem pół dobrej szklanki koniaku. Napiliśmy się wszyscy trzej i — połknęliśmy rybę. Oczywiście p. Hirota zjadł wszystkie cztery ryby".

Najdzielniejszym okazał się p. Hirota. Ale to Japończyk, człowiek Wschodu, potomek dzikich samurajów, inna kultura i cywilizacja... Lecz trzeba przyznać, że wytrzymałym okazał się również marszałek Piłsudski i jego otoczenie. Tu żywy organizm rusza się i drga, a oni tylko wódką popili, biorą pałeczki i konsumują!

Cieszymy się, że możemy raz pochwalić przeciwnika. Kapitalna jest „Gazeta Polska" ze swoimi wspomnieniami... Co za wyczucie... Co za smak... Prawdziwie—francuski dowcip i subtelność.

* * *

Gorzej jest z naszymi stosunkami z Francją i z Francuzami. Lewica francuska od dłuższego już czasu niechętnie patrzy na sojusz swojej Ojczyzny z Polską, nie zamykamy oczu na fakt, że istnieje we Francji poważny odłam opinji, która chciałaby pogodzić się z Niemcami kosztem Polski. Tem nie mniej jednak przeciwnicy sojuszu z Polską we Francji nie mieliby za sobą poważnych argumentów, przekonywujących opinję publiczną, gdyby stosunki wewnętrzne w Polsce były normalne i uporządkowane.

Przeciętny obywatel francuski (a we Francji obywatele wywierają faktycznie wpływ na rządy, jako wyborcy) jest z przekonań demokratą i niechętnie patrzy na dyktaturę. Sądzimy, że zniósł by jeszcze dyktaturę rozsądną, konsekwentną, oświeconą...

Widzimy więc, dlaczego w opinji francuskiej zaszły w ostatnich latach niekorzystne dla nas zmiany. Do tego dochodzą jeszcze pewne drażliwości osobiste poszczególnych polityków, wspomnienia z czasu wojny światowej... Tak się złożyło przypadkiem, że akurat większość obecnych naszych mężów stanu podczas wojny hołdowała innej orjentacji politycznej. Dość, że obecnie lewica francuska, która dawniej cichaczem i półgęb-

kiem zwalczała sojusz, obecnie czyni to ostro i manifestacyjnie. Przytaczamy ciekawą opinję „Głosu Narodu" w tej sprawie:

Jest prawdą, że przewrót majowy z roku 1926 nie znalazł sympatji we Francji. Szczególnie zaś ostro był sądzony przez umiarkowaną opinję i przez centrowo-prawicowe grupy parlamentarne, — a więc przez tę część społeczeństwa francuskiego, z którem potem naszym dyplomatom przyszło współpracować. Sporadyczne zaś wypady przeciw „obcym agenturom" a w gruncie rzeczy przeciw Francji, były w tym odłamie opinji odczuwane szczególnie boleśnie. Ci, którzy w tym czasie czytywali „Journal des Debats", „Echo de Paris" i inne organy umiarkowanej, a dla Polski przyjaźnie usposobionej opinji, musieli już wówczas zaniepokoić się rozwojem stosunków. Najczarniejsze i — powiedzmy to wyraźnie — najgłupsze podejrzenia przeciw rządowi p. marsz. Piłsudskiego znajdowały wówczas wiarę we Francji (przypominamy „rewelacyjne" sensacje dziennika „l'Action Francaise")... Jeszcze, jak długo nasza lewica (zwłaszcza PPS.) trzymała się klamki belwederskiej, przynajmniej jej odpowiednik we Francji zachowywał rezerwę w stosunku do Polski.

Przyszły potem znane pociągnięcia nasze na terenie zagranicznym: flirt z Włochami wówczas, kiedy Mussolini grzmiał przeciw Francji, przeciw traktatom pokojowym, — flirt z Węgrami wówczas, kiedy hr. Bethlen po inspiracje jeździł do Berlina... Tylko szczególna naiwność mogła się łudzić, że się ta polityka nie odbije na losach Polski.

I, wreszcie,—pewne „metody rządzenia" sanacji także zrobiły swoje... Jeśli „l'Echo de Paris" nie mogło w maju 1926 roku zrozumieć, dlaczego trzeba było siłą rozpędzać rząd Witosa, i dlaczego wyswobodziciel Śląska, Korfanty, okazał się nagle złym obywatelem i złym patrjotą, to, czy trzeba się dziwić oburzeniu całej już Francji w roku 1930?

Ale nie same błędy sanacji przyniosły zwrot w opinji francuskiej na naszą niekorzyść. Ich wpływ oddziałał na francuskie centrum i na prawicę. Lewica zaś—co zresztą szczerze p. Pfeiffer przyznaje—działa pod wpływem jeszcze innych motywów.

Są one dość znane... Partja socjalistyczna we Francji jest pod komendą niemieckiej Socjalnej Demokracji. Znakomicie jej to uświadomił p. Tardieu w Izbie posłów replikując p. Blumowi, że—do poparcia jakiegoś państwa przez socjalistów francuskich trzeba koniecznie, by na jego czele stał feldmarszałek... Partja zaś radykalna, zahipnotyzowana „religją" pacyfizmu, patrzy na Polskę jako na przysłowiową „kość niezgody" w Europie; w niej widzi jedyną przyczynę nacjonalistycznego fermentu w Niemczech i dlatego w ofierze bożkowi „pokoju" gotowaby złożyć nawet polskie Pomorze.

Może nie cała lewica francuska tak sądzi. Może są w niej tacy, którzy nie podzielają poglądów p. Pfeiffera. Lecz ich nie widzimy! Dlaczego?... Wyszło to na jaw z okazji debat parlamentarnych w Paryżu nad pożyczkami zagranicznemi. Wyrażono dla Czechosłowacji uznanie za jej „lojalne" stanowisko w stosunku do Francji i za jej „doskonały" zarząd

finansami i przyznano pożyczkę w wysokości 600 miljonow franków. Ci, którzy czytali wczorajsze nasze doniesienie o tym fakcie, musieli pytać się:—dlaczego Polska odeszła z niczem?... Odpowiedź zawarta jest w komunikacie o pożyczce dla Czechosłowacji."

Sojusz z Francją jest kamieniem węgielnym naszej polityki zagranicznej. Utrata, względnie osłabienie tego sojuszu — to byłby jeden z najkapitalniejszych błędów, jedno z tych posunięć, które się mszczą natychmiast na narodzie, który je popełnia.

* * *

Palące zagadnienie kryzysu gospodarczego w dalszym ciągu zajmuje nietylko ekonomistów zawodowych, lecz także publicystów i polityków. Niedawno R. Dmowski napisał na ten temat kilka artykułów na łamach „Gazety Warszawskiej". W jednym z nich, ogłoszonym w numerze z dn. 25 marca snuje bardzo ciekawe poglądy i refleksje na temat hegemonji pośrednictwa nad produkcją w ustroju kapitalistycznym, a w końcu dochodzi do następujących wniosków:

„Odbywa się dziś proces, który można wyrazić w krótkiem zdaniu: Pośrednik zjada wytwórcę, i rolniczego, i przemysłowego, a niszcząc ich sam ginie.

I to jest może główna przyczyna tego, że obecny, nieunikniony kryzys gospodarczy posuwa się naprzód z taką szaloną szybkością i przybiera tak ostry charakter. Szybkość tę jeszcze przyśpieszy państwo przez swoją kosztowną organizację i wynikające z niej ciężary.

Nazwałem chorobę dzisiejszego ustroju gospodarczego śmiertelną. Niech mi kto wskaże środki, któreby mu przywróciły zdolność do życia On sam siebie zabija i dlatego zawalenie się jego jest nieuniknione.

Jaki to ustrój? Kapitalistyczny?... To jest nazwa, dana mu przez tych, którzy przeciwstawili mu program kolektywistyczny, przez socjalistów, tych, którzy, konsekwentnie idąc, reprezentują dziś komunizm, i tych, którzy się w tym ustroju zadomowili i razem z nim upadają.

Ten ustrój, który doprowadził Europę do niebywałego materjalnego rozkwitu, miał w sobie od początku pierwiastki anarchiczne, dezorganizujące naszą cywilizację i prowadzące go do szybkiego zwyrodnienia. Jego głównym rysem nie jest rola kapitału w życiu gospodarczem, lecz anarchja która prędzei czy później musiała wydać społeczeństwa ludzkie na pastwę wytworzonego przezeń typu ludzi, dla których nic poza osobistym ich zyskiem nie istnieje i żadne sposoby osiągania zysku nie są złe, byle nie prowadziły do więzienia.

Marksowski komunizm, który z tego ustroju wyrósł i jego pojęciami zasadniczemi operuje, nietylko nie ma widoków na zajęcie jego miejsca, ale bodaj będzie musiał go wyprzedzić w drodze do grobu.

Trzeba co rychlej zdobyć się na zrozumienie istoty kryzysu, ażeby myśl mogła należycie pracować nad największem zagadnieniem jutra: na jakich podstawach ma się oprzeć materjalny byt społeczeństw i duchowy rozwój naszej cywilizacji?...”

Tak więc wódz ruchu, który był do niedawna w Polsce klasycznym przykładem myślenia kategorjami liberalnych pojęć ekonomicznych, którego program po dziś dzień jeszcze hołduje w zasadzie poglądom liberalnym — dokonywa pewnego rodzaju przełomu w zapatrywaniach swojej grupy. Stwierdzając bowiem bankructwo obecnego ustroju, staje wyraźnie na stanowisku reformy.

I nie dziwimy się zupełnie, że tak nagła zmiana musiała wywołać sprzeciwy we własnym ugrupowaniu. Zaledwie ukazał się artykuł R. Dmowskiego, a już zaraz następnego dnia naczelny publicysta „Kurjera Warszawskiego” p. B. K. ogłosił pod znamiennym tytułem: „Do czego się zmierza?” apoteozę książki prof. Rybarskiego („Przyszłość gospodarcza świata"), który w poglądach swych staje na innym stanowisku. Wyraźnie nie krytykując R. Dmowskiego, p. B. K. między wierszami daje ironicznie do zrozumienia, że nie podziela jego poglądów i wogóle lekceważąco zapatruje się na dyskusję toczącą się na temat bankructwa kapitalizmu.

Stwierdzamy fakt, iż w obozie N. D. rozpoczęła się na ten temat wymiana poglądów. Trudno przewidzieć do czego ona doprowadzi. Jeżeli N. D. zejdzie w ostateczności z dotychczasowej drogi liberalizmu ekonomicznego, to staną przed nią dwie tylko możliwości: socjalizm lub doktryna chrześcijańsko-społeczna.

Nie ulega wątpliwości, że rzeczywista i pełna prawda znajduje się tylko w encyklikach papieskich: Rerum Novarum i Quadragesimo Anno. W obecnym momencie, gdy walą się stare światy i rysują przestarzałe poglądy i programy — tylko gmach programu katolicko-społecznego stoi pewnie i niezachwianie. Katolicy winni go poznać i z zasad jego wyciągnąć wskazówki postępowania.

S. J. K.

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Na marginesie książki O. Marjana Pirożyńskiego „Co czytać?“ *) **)

Jakkolwiek literatura piękna przechodzi obecnie niepokojący kryzys ideowy, drzemiąc zawsze jeszcze w powojennej stagnacji, należy z drugiej strony stwierdzić wzmagającą się coraz bardziej falę piśmiennictwa sensacyjnego, brukowego, częstokroć importowanego z zagranicy. Zalewając krzykliwemi tytułami i pstrokatemi okładkami szeroki rynek księgarski, czyha owa nowa literatura na bezkrytycznego czytelnika, który żądny emocji wyrzuci tak rzadki dzisiaj grosz na kupno godzinnej lektury. Zwłaszcza młodzież, dezorjentowana i pozbawiona odpowiedniej dyrektywy, pada zbyt często ofiarą owych wydawnictw. Ale i starszym osobom, nawet z inteligencji (tej wyższej) nie łatwo dzisiaj o wybór dobrej książki. Poprostu z lękiem biorą do ręki każdą nową publikację powieściową, z lękiem, czy tam aby nie będzie nowej trucizny, nowego jadu na podrażnioną psychikę powojennego człowieka.

I zabrały się co gorętsze osoby, w trosce o zdrowie moralne społeczeństwa, by podać krytyczną ze stanowiska etyki katolickiej ocenę książek tych gatunków literackich, które najwięcej rozchodzą się w obecnym czasie. Ale ta praca cenzorska zamykała się prawie że wyłącznie w ramach perjodycznych czasopism oświatowych lub religijnych, które najprzód nie wszędzie docierały a następnie, właśnie ze względu na swój charakter czasopiśmienniczy, nie dawały ogólnego poglądu na świat wydawniczy, na to, co wolno, a czego nie wolno czytać bez szkody dla własnej duszy.

Stąd też wprost palącą stala się kwestja takiego zbioru wydawnictw, czy katalogu, któryby objął według działów literackich, czy według autorów całokształt piśmionnictwa i oceniał je ze

---

*) O. Marjan Pirożyński, redemptorysta, „Co czytać?". Poradnik dla czytających książki. Beletrystyka. Wydawnictwo Księży Jezuitów Kraków. 1932. Czcionkami Drukarni Toruńskiej S. A. w Toruniu, ul. św. Katarzyny 4. Str. 246.

**) Artykuł dyskusyjny.

stanowiska światopoglądu katolickiego przy zastosowywaniu jednakże wszelkich najnowszych metod krytyki literackiej. Ten sotatni postulat musi być uwzględniony choćby z tego prostego względu, by nie narażać siebie i obóz, w obronie którego się występuje, na niepożądaną kompromitację, zwłaszcza, gdy rościmy sobie pretensje do naukowego traktowania przedmiotu.

Ale jest rzecz inna, bodajże ze stanowiska najnowszych prądów teologji moralnej ważniejsza, mianowicie: żeby zadanie ująć pozytywnie, t. zn., żeby podać katolikom, co czytać należy, jakie książki są polecenia godne, jakie wydawnictwa zasługują na poparcie. Raczej to pozytywne podawanie informacyj może dać pożądany skutek i propagować dobrą książkę, o której napisano dobrą, jak na katolickiego krytyka literackiego przystoi, recenzję. Natomiast wyliczenie utworów złych, niebezpiecznych dla duszy czyni tym wydawnictwom tylko niepotrzebną reklamę a pozatem informuje czytelnika żądnego sensacji o różnych książkach „zakazanych", o których dotąd nie słyszał. A że już człowiek jakoś czuje raczej inklinacje do owego zakazanego owocu, który zawsze lepiej smakuje, więc z takim „poradnikiem" w ręce może sobie wybierać tomiki, które noszą piętno „nie wolno". A biedny ten człeczyna właściwie nigdy się nie dowie, jaki jest stan literatury dobrej, nigdy jasno i wyraźnie nie usłyszy, jakie dzieła inteligentny katolik powinien znać.

Wobec powyższego ze zrozumiałem zadowoleniem i zainteresowaniem przyjąłem wiadomość o ukazaniu się książeczki O. Marjnaa Pirożyńskiego C.S.S R., która ma być właśnie takim pożądanym „poradnikiem dla czytających książki". Jednakże jak wielka byla radość, z którą ów poradnik wziąłem do ręki, tak wielkie, jeśli nie większe, było rozczarowanie po przeczytaniu tych 246 stron druku. Przekonałem się, że rzecz całkowicie jest chybiona, nie tylko to, ale że w pewnej mierze jest kompromitacją i dla Autora i dla nas wszystkich, co walczymy o zwycięstwo idei katolickiej w każdej dziedzinie życia.

Cel, jaki sobie O. Pirożyński wytknął przy układaniu tego „poradnika" ujął sam w słowa: „Dziełko niniejsze jest próbą... dążącą de właściwej oceny ideowej powieści i nowel". „Ocenę beletrystyki dajemy ze stanowiska etyki" (str. 6). A zatem zadanie bardzo wzniosłe, ale niestety zbyt często zbacza Autor z drogi wiodącej do wytkniętego sobie celu tak, że w końcu on

sam i cel stoją gdzieś daleko od siebie, nawet nie na jednej płaszczyźnie. Na str. 12 tłumaczy się Szan. Autor w sposób nie bardzo zadowalający, dlaczego nie wszystkie dzieła mają osobną recenzję. Przeznacza zaś swój poradnik „dla wychowawców, dla kierowników bibljotek, dla ludzi dobrej woli, dla każdego chrześcijanina, bo chrześcijanin to dziecko Boże, to syn królewski" (str. 12). A zatem m. in. także dla inteligencji, co wymagałoby odpowiedniego ujęcia krytyki i charakterystyki poszczególnych dzieł. Tymczasem, jak się na przykładach przekonamy, rzecz przedstawia się wręcz inaczej. Niejednokrotnie w toku czytania tego ciekawego „poradnika" nasuwa się mimowolį myśl: to chyba nie poważny katalog tego, co czytać a czego czytać nie należy; to chyba niepożądane żarty, zredagowane dla pisma humorystycznego, dla bezkrytycznych czytelników z plebsu, których ubawić może lapidarna parodja.

Mówiąc o stronie metodycznej, należy z wielkiem uznaniem podkreślić to, że O. Pirożyński przytoczył odpowiednie rozporządzenia kościelne co do czytania książek zakazanych. Ta pierwsza część „poradnika" jest — bodajże jako jedyna — najcenniejsza. Natomiast zawiódł O. Pir. w całej reszcie, będącej jego własnej kombinacji, do tego stopnia, że nawet tytuł książki „Co czytać?" nie zgadza się prawieże zupełnie z jej treścią, Albowiem zamiast zestawienia tego, „co czytać", robi Szan. Autor niewątpliwie mimowolną propagandę temu, „czego nie czytać". Wszak o autorach i książkach, które słusznie, czy niesłusznie O. Pirożyński potępia, potrafi się rozpisywać poprzez kilkadziesiąt wierszy a nawet półtora i więcej stronicy, natomiast o utworach godnych polecenia i o pisarzach, stojących na gruncie światopoglądu katolickiego, daje niejednokrotnie zbyt naprawdę lakoniczną notatkę. Egz.: O. Spillmann T. J. czy nasza Kossak-Szczucka a taki Margueritte! Takich przykładów jest więcej.

Dalej pod względem metodycznym ściąga praca O. Pir. na siebie zarzut braku konsekwencji. Jeżeli bowiem Autor chciał dać ocenę ze stanowiska etyki, po co puszcza się na tory krytyki estetyczno-literackiej, zdradzając przytem nie zbyt gruntowne wyszkolenie fachowe. Dygresje na temat wartości estetycznej czy stylistycznej danego utworu są w tym wypadku nie tylko niepożądane, ale świadczą o prostem dyletantyzmie, co w książce,

przeznaczonej dla inteligencji, razi i ściąga na nas uszczypliwą krytykę ze strony naszych przeciwników ideowych.

Pozatem nie trzyma się Szan. Autor wytkniętej sobie drogi omawiania baletrystyki, a więc powieści i nowel, gdyż wjeżdża także np. na dramaty Żeromskiego, Galsworthy'ego, Goetta czy Szubińskiego, lub też uważa za potrzebne zaznaczyć, że „Zofja Kowerska jest oprócz tego autorką cennej pracy: O wychowaniu macierzyńskiem". Z drugiej zaś strony bibljografja sama pozostawia nie jedno do życzenia, choćby np. z tego względu, że brak szeregu autorów bardzo znanych, którzy prócz dzieł poetycznych pisali także prozą (np. Krasiński, Goszczyński, Niemcewicz, Krasicki, Berwiński, Ks. M. Wirtemberska etc.); brak także niejednokrotnie tytułów takich utworów, o których zapominać nie wolno (np. Prusa „Anielki", „Powracającej fali", „Omyłki"; Łady „Antychrysta".

Dla scharakteryzowania meritum pracy O. Pirożyńskiego omówię kilka przykładów, podkreślając, co, zdaniem mojem, w jego książce dobre i co niewystarczająee. Charakter tego poradnika wymaga przytem, że niejednokrotnie w toku poruszania spraw merytorycznych będzie trzeba uciekać się do pomocy kwestyj ze strony metodycznej.

Jeżeli powyżej powiedziałem, że niejednokrotnie O. Pir. czyni niepotrzebną reklamę literaturze deprawującej, to odnosi się to do tych wszystkich autorów sprzecznych, z zadaniami katolickiemi (spis jest ujęty systemem alfabetycznym według autorów), o których Ojciec Pirożyński zbyt rozwlekle się rozpisuje, cytuje większą lub mniejszą porcję ich utworów, dając przy niektórych niepotrzebną przydługą charakterystykę. Tak np. oprócz wspomnianego Margueritte'a mamy doskonałą reklamę dla takiego Pitigrilli'ego, którego—jak świadczą sądy nawet niekatolików — naprawdę rynsztokową twórczość powieściową Szan. Autor przytacza zdaje się in extenso. Muszę się przyznać że dopiero O. Pir. odsłonił mi ilościowe bogactwo twórczości (jeśli to tak nazwać można) tego pisarza. Podobnych nieostrożnych reklam jest więcej (np. Dostojewski, Dumas etc.), oprócz, co z uznaniem podkreślić należy, niejednokrotnie bardzo udatnych ocen. Najlepszą bodajże jest notatka o Maurycym Barres'ie, w której O. Pir. daje ocenę jego twórczości, poczem wymienia tylko jeden utwór, który jego zdaniem można czytać

bez kolizji z sumieniem. W ten sposób należało potraktować wszystkich pisarzy, których dzieła dla duszy czytelnika zawierają niebezpieczny jad. Także charakterystyka samego pisarza wypada czasami wcale dobrze, przez co Sz. Autor daje dowód, że przy nieco gruntowniejszem opracowaniu „poradnika" oraz pogłębieniu studjum nauki o literaturze z katechizmem psychologji (zwłaszcza twórczości), w ręce mógłby dać społeczeństwu katolickiemu naprawdę cenny katalog książek dobrych (i notb. autorów niepożądanych). Tak np. doskonała jest jak na tę publikację, charakterystyka (jako człowieka i pisarza) Tadeusza Boya-Żeleńskiego czy Wiktora Hugo czy Huysmans'a (chociaż ocenę książki „En route"—„W drodze" uważam za daleko niewystarczającą), Kellera, czy Przybyszewskiego, gdzie jednakże ocena jego książek wypada znowu bardzo blado. Doskonała i trafna (acz ze stan. metodycznego niekonsekwentna) jest także ocena Flauberta „Madame Bovarg", jeżeli O. Pir. pisze: „Pod względem literackim powieść jest arcydziełem, pod względem moralnym — arcyniebezpieczna". Natomiast niepotrzebną wydaje mi się uwaga, jakby samopas chodząca, że Bałucki „zginął śmiercią samobójczą". Zdanie to, nie mające właściwie żadnego związku z tem, co Autor przy nazwisku Bałuckiego notuje, zdradza pewną — według mego zdania — wyraźną tendencyjność, od której wolną być musi książka, roszcząca sobie pretensje do naukowego traktowania rzeczy. To samo należy powiedzieć o niepoważnej uwadze (ze stanow. kontekstu), że Wacław Grubiński pisał: „... 3° *nawet* (podkreśl. moje) artykuły krytyczne."

O Wacławie Berencie czytamy w „Poradniku" O. Pirożyńskiego tak: „Mimo wielu sympatycznych stron w twórczości Berenta, należy go uznać za pisarza niezdrowego już to wskutek tak często się trafiających scen nieodpowiednich, jużto wskutek niechęci do nauki Kościoła, czem dał niezbity dowód. tłumacząc na język polski kilka tomów Nitzschego". Co do pierwszej części umotywowania niezdrowotności pisarskiej autora „Oziminy" zgadzam się w zupełności, o ile chodzi o czytelników niedorosłych. Drugi motyw zaś niechęci B. do Kościoła, czego „niezbitym dowodem" według O. Pir. ma być to, że Berent przełożył na polskie Nitzschego, — wydaje mi się conajmniej dziwnym. Chyba nie pragnie O. Pirożyński—mówiąc ze stano-

wiska naukowego — odgraniczać chińskim murem polską naukę i studjum filozoficzne od zagranicy, jeśli chodzi o myślicieli niekatolickich. W całej zupełności pisałbym się pod tę ocenę Berenta, gdyby ten był *popularyzował* dzieła Nitzschego w tej myśli, żeby każda pensjonarka i każdy piątoklasista nosił w kieszeni Nitzschego „Jenseits von Gut und Böse“ czy innego „Antychrysta”. Coś mniejwięcej w tym guście, jak to robi Boy z literaturą zmysłową francuską we własnem wydawnictwie, lub inna „Bibljoteka groszowa".

Natomiast w książce o tytule „Co czytać?“ stanowczo niewystarczającą jest notatka o „Żywych kamieniach”: „Średniowieczne legendy o ludziach dążących do ideału, piękne i dobre". Zbyt, naprawdę zbyt lapidarne!!

Ciekawa jest charakterystyka książki Henryka Bordeaux „A ślad przyprószył śnieg“. Pisze O. Pir.: „Cudzołóstwo i jego przebaczenie, urok życia rodzinnego; powieść zawiera zbawienne nauki dla osób zbłąkanych, ale dla dusz naprawdę katolickich nauki te są zbyteczne i niebezpieczne (aż tak!? — przyp. mój); są też i sceny brutalne“. Pierwsza myśl, która mi się przy czytaniu tych słów nasunęła, była: Jakżeż właściwie będą wyglądały co do treści i ujęcia kazania Czcigod. O. Pirożyńskiego na nabożeństwie, gdzie pod jedną amboną siedzą i pobożne siostrzyczki i grzeszne Magdaleny?.. Jeżeli będziemy się uporczywie trzymali tezy, że skądinąd zbawienne nauki dla osób zbłąkanych są niebezpieczne dla dusz naprawdę katolickich, to należy spalić przedewszystkiem książki O. Pir., a dalej przynajmniej 75% naszych ludowych książeczek do nabożeństwa, wydawanych przez różne zakony i zgromadzenia, należy gruntownie zrewidować naszą literaturę mistyczną (dla ćwiczeń duchownych) a nawet pewną część literatury z teologji moralnej przeznaczonej dla młodych kleryków. A to byłaby przecież generalna rewolucja. Co do powieści zaś Bordeaux'a, to mimo, że ją kilkakrotnie czytałem w różnych odstępach czasu, nie znalazłem nic takiego, co będąc „zbawienne dla osób zbłąkanych”, byłoby „zbyteczne i niebezpieczne dla dusz naprawdę katolickich”.

Nierówny styl Autora „Poradnika”, który raz pisze (czasami zbyt rozwlekle) całemi zdaniami, nawet złożonemi, a kiedyindziej znowu posługuje się stylem telegraficznym, wywołuje sy-

tuacje na pierwszy rzut oka komiczne, a co najmniej dwuznaczne. Oto exemplum: pod H. Bordeaux na st. 50 czytamy: „Gry niebezpieczne", sporty zimowe w Alpach—dla czytelników dojrzałych". A więc co jest dla dojrzałych czytelników? Sporty zimowe w Alpach, Gry niebezpieczne, czy książka?...

Tutaj przypomina mi się inny lapsus językowy pod: Grabowski Zbigniew. Pisze O. Pir.: „...Oprócz tego zapoznaje (podkreśl. moje) (Grabowski) podstawową prawdę, że aby móc wierzyć, trzeba zacząć dobrze żyć". Poprawnie należałoby napisać: że Gr. „nie uznaje podstawowej prawdy". Zapoznać natomiast znaczy tyle, co: zaznajomić.

O dobrych książkach pisze O. Pir. najczęściej bardzo mało (mimo że pragnie służyć poradnikiem—„Co czytać?"), nierówno mniej jak o złych i niebezpiecznych, w których—jakby złośliwi mogli wywnioskować — lepiej się orjentuje. Jakżeż blada — niczem anemiczna suchotniczka — wypadła np. ocena Bourga du Dom „Z pola bitwy do Trapistów". O tem potrafił Czcig. Autor tylko tyle napisać, ile każdy prosty czytelnik, który tę książkę poraz pierwszy bierze do ręki, zdoła wywnioskować ze samego tytułu. A gdzie krótka jędrna charakterystyka idei przewodniej i przeżyć bohatera?, o czem w pierwszym rzędzie krytyka, jaką pragnie uprawiać Autor „Poradnika", pamiętać powinna. Coś podobnego dzieje się także ze Szczucką, o której „Pożodze" i „Legnickich polach" wypisuje O. Pir. coś razem kilkanaście słów, podczas gdy te dwie powieści robią obecnie wielką furorę w literackim świecie katolickim Niemiec, do tego stopnia, że odzywają się tam poważne głosy, domagające się dla p. Kossak-Szczuckiej nagrody Nobla!

Albo O. Wilde'a „Dorian Grey". Czy o tej powieści naprawdę nie warto więcej napisać, jak bezpretensjonalne słówko: „romans". Czyż O. Pir. nie wyczytał w tym „Portrecie" żadnych pożytecznych nauk?.. Gdy jeszcze byłem w gimnazjum, w klasie ósmej, nasz ks. katecheta, człowiek bardzo zacny i szlachetny, poświęcił kiedyś całą godzinę tej powieści, wydobywając z niej walory etyczne.

A na przykład Wybranowskiego (pseudonim!) „Dziedzictwo" zasługuje zdaniem O. Pirożyńskiego na taką tylko notatkę: „Powieść współczesna, demaskująca przewrotną działalność masonerji; przyzwoita" — podczas gdy młodzież akademicka, katolic-

ka i narodowa, poprostu porywa ją sobie z ręki do ręki, mimo zastrzeżeń, wyłuszczonych przez p. Zofję Morstinową w marcowym „Przeglądzie Powszechnym".

Bardzo upośledzony jest także jezuita O. J. Spillmann, którego doskonałe powieści historyczne, oparte na gruntownych studjach wprost krzyczą o jaknajwiększą propagandę. Katolicka Polska powinna mieć wszystkie powieści tego pisarza-zakonnika. Wszak o poczytności i znaczeniu jego utworów świadczyć może choćby fakt, że sporo z nich przełożono na kilkanaście czy nawet więcej języków!

Również po macoszemu potraktowani zostali pisarze polscy, poruszający zagadnienia regjonalistyczne i narodowe. Wymienię tylko „charakterystykę" (w cudzysłowie!) „Odlotów" Szpotańskiego i jego „Bez ziemi i słońca" (o pierwszej powieści dwa słowa, o drugiej pięć!), — oraz naprawdę biednego ks. Henryka Rzewuskiego. Warto rzeczywiście przytoczyć tę sumę wiadomości literacko-krytycznych, jaką zdradza Autor poradnika „Co czytać?" w stosunku do takiego Rzewuskiego. „Niezrównany gawędziarz, przytem sarmata z krwi i kości, przywiązany do wiary i ojczyzny: Pamiątki Pana Seweryna Soplicy; Listopad; Rycerz Lizdejko, Zaporożec". Ot i wszystko. O pisarzach niemoralnych i niebezpiecznych całe- czy półstronicowe reklamy, a o przywiązanym do wiary i ojczyzny Rzewuskim raptem 13 (trzynaście) słów plus cztery tytuły dzieł! Trudno się oprzeć pewnemu, delikatnie mówiąc, głębokiemu żalowi.

Charakterystycznym dla literacko-krytycznego sposobu myślenia O. Pir. jest także ów sui generis kwiatuszek, który Czcig. Autor w swoim „Poradniku" złożył na stuletnim grobie jubilata—twórcy „Fausta". Na str. 99 czytamy: „Goethe Jan Wolfgang (1749—1832). Poeta niemiecki. Za młodu prowadził życie hulaszcze i rozpustne. Na kanwie tych przeżyć napisał w r. 1774: *Cierpienia młodego Wertera*, on się w niej zakochał ona wychodzi za mąż, on się nadal w niej kocha i kończy życie samobójstwem. Romans ten był w stylu epoki—rozczulanie się, płakanie, analizowanie siebie—opanował więc współczesne umysły i narobił wiele złego". Koniec! Niewątpliwie był „w stylu epoki" i „narobił wiele złego" (jedna ze znajomych Goethego, dama dworu weimarskiego, Christel von Lassberg, popełniła samobójstwo w pobliżu domu Goethego z „Werterem"

w torebce). Ale trudno znaleźć słów na ocenę Goethego i jego „Cierpień” w stylu O. Pirożyńskiego! („Mucha” za ten kawał dałaby napewno sute honorarjum!).

Dostało się także takiemu potentowi pióra katolickiego, jakim jest S. K. Chesterton, któremu — zdaniem O. Pirożyńskiego — „ze stanowiska estetycznego (a gdzie konsekwencja? Wszak celem „Poradnika” ma być „właściwa ocena ideowa” „ze stanowiska etyki”!) można wytknąć, że przeładowanie dzieł śmiałemi paradoksami i ekscentrycznemi porównaniami prędko nuży czytelnika, a niekiedy nudzi”. Może być w tym odrobina racji, ale jest to do pewnego stopniu kwestją indywidualnego zapatrywania. Muszę przyznać, że mnie osobiście, jeszcze żadna powieść Chestertona nie nudziła.

Bürgera, poetę niemieckiego mianuje O. Pir. „pierwszym romantykiem”. Chyba dla tego samego, że wśród poetów okresu „Sturm und Drang” wylicza go się zazwyczaj na pierwszym miejscu i dlatego, że wprowadził do literatury niemieckiej balladę. Ale gdzie w takim razie umieścić Jean Paula i Hoelderlina, lub Ticka, Wackenrodera czy Hardenberga. Czy Bürger jest pierwszym romantykiem niemieckiem, czy Jean Paul, Hölderlin lub Tick, sąd taki może zależeć od tego, ile ktoś wynajdzie momentów wspólnych (i sprzecznych) między właściwym romantyzmem niem. a poprzedzającym go okresem Sturm und Drang. Najnowsze studja i badania w tej materji dokonywane przedewszystkiem przez Oskara Walzla, rzecz już rozwiązały.

Przytacza O. Pirożyński także Remarque'a „Na zachodzie bez zmian" i daje dość obszerną ocenę (w zestawieniu ze Szczucką, Rzewuskim czy Spillmannem stanowczo za obszerne!). Pisze m. i. że „życie żołnierskie przedstawione bez osłon, a więc bardzo ordynarnie”. Zgoda! Ale uwagę o „nierozwiązalnych dla czytelnika trudnościach w zakresie etyki i patrjotyzmu” należało umotywować właśnie brakiem w powieści elementu nadprzyrodzonego w obrazowaniu życia żołnierskiego. A że ono było, nawet a może właśnie na froncie w obliczu śmierci, o tem świadectwo dają liczni uczestnicy walk na froncie francuskim. Swoją drogą, sam słyszałem różne sądy z ust byłych frontowców z pod Verdun, z nad Marną czy z nad Somme'ą. Jedni, z których niektórzy poświęcili się stanowi kapłańskiemu czy zakonnemu, twierdzili, że książka Remarque'a daleko nie oddaje całej grozy

piekła wojennego. Że jeszcze daleko, daleko więcej było ordynarności i bestjalstwa. Inni natomiast podkreślali pewną rażącą jednostronność Remarque'a, który nie widział, czy nie chciał widzieć wspomnianych wyżej elementów nadprzyrodzonych, duchowych, które niejednokrotnie wyciskały przedśmiertne „Ojcze nasz" czy szczere „O mój Boże, pomóż!" z ust, które już od długich, długich lat nie modliły się. Jeżeli Remarque te rzeczy pominął, powinien krytyk powieści (zwłaszcza jeśli nim jest kapłan kat.) zwrócić na to uwagę. Wszak krytyk, recenzent, musi się wynieść ponad zwykłego czytelnika, dla którego powieść stawia różne „nierozwiązalne trudności w zakresie etyki i patrjotyzmu. W łączności z dziełem „Na zachodzie bez zmian" wcale nie trafną jest uwaga: „Książka tylko dla dojrzałych, inteligentnych czytelników rodzaju (!) męskiego". Paradnie! Doskonały miód dla ciekawej płci pięknej, dla podlotków i pensjonarek!

Nie bardzo zgodziłbym się także na porządek oceny, jaką O. Pir. daje dla „Chłopów" Reymonta i jego noweli „Zabiłem".

Nazwany przez O. P. „niepotrzebny wstręt zbyt swobodny" w nowelce „Zabiłem" określiłbym raczej mianem „bardzo drastycznego opisu" z charakterystyki „Chłopów" i na odwrot (w liczbie mnogiej).

O powieściach Perzyńskiego czytamy w „Poradniku", że są niezdrowe. Najzupełniejsza zgoda. Ale czy naprawdę wszystkie? Przypominają mi się właśnie „Uczniaki". Czy one także są niezdrowe? Nie sądziłbym. Starszej dojrzałej intelektualnie i duchowo młodzieży dałbym tę powieść do ręki, mierząc nawet miarą Noldina czy Prümmera. Zupełnie tak, jak „Chłopów", „Na zachodzie bez zmian" czy niektóre rzeczy Makuszyńskiego.

Wspomina O. P. także autorkę niemiecką Vicki Baum i wymienia dwie z jej powieści: „Ludzie w hotelu" (rzecz przerobiona na utwór sceniczny, przewędrowała różne deski teatralne Polski) i „Studentka". Ani jednej ani drugiej książki coprawda nie czytałem, wiem natomiast, że katolicka krytyka fachowa niemiecka wydała nieco ostrzejszy sąd o „Ludziach w hotelu", niż to czyni O. Pirożyński. O „Studentce" zaś, poza gołym tytułem, niczego więcej z „Poradnika" nie dowiadujemy się!

Wprost uderzająca, jak na krytyka katolickiego, o sposobie myślenia europejskim, jest ocena Ossendowskiego „Przez kraj, bogów, ludzi i zwierząt" i „Cienie ponurego wschodu". Mniejsza o to, że w pierwszej powieści dał nam Ossendowski „opis walk przeciwbolszewickich na Syberji i w krajach przyległych" i że „znawcy ówczesnych stosunków zakwestjonowali prawdziwość niektórych szczegółów". Daleko ważniejszą chyba jest idea przewodnia tego utworu i tendencja, jaka z niej przebija. Czy np. O. Pirożyńskiego nie uderzyła wzmagająca się coraz bardziej ku końcowi powieści apoteoza Sternberga owego „budziciela uciemiężonych Mongołów"?... Czy nie wyczuł O. Pir. tego wszystkiego nihilizmu ideowego, wyzierającego z postaci takich, jak Ungern-Sternberg czy Siemionów, nihilizmu, który potrafi tylko konspirować i wiecznie rewolucjonizować?... Czy O. Pir. nie zauważył owej wprost uderzającej sympatji Ossendowskiego do buddyzmu, do „budzącej się Azji"?... Czy dla O. Pirożyńskiego niczem jest owa rosyjska inklinacja Ossendowskiego ku wschodowi z negacją kultury europejskiej?...

A „Cień ponurego wschodu", czy to *tylko* psychologja narodu rosyjskiego?... Jakżeż zapatruje się O. Pirożyński na postulat Ossendowskiego, by „krzyżem nauką i wolą" pójść do narodu rosyjskiego, który stracił „rozum, honor i ojczyznę".

Nieco szerzej rozwodziłem się nad powieściami Ossendowskiego, a to dlatego, że jestem przekonany, iż dokładna analiza ideowa tych wymienionych książek, rzucałaby nieco światła na pewne objawy w dzisiejszem życiu kulturalnem i politycznem Polski.

Jeżeli Czcigodny Autor nie dojrzał niebezpieczeństwa „ideologji wschodu", przezierającej zwłaszcza z powieści „Przez kraj bogów, ludzi i zwierząt", to z drugiej strony nie mogę się zgodzić na taki potępiający sąd, jaki spotkał „Przedwiośnie" Żeromskiego. Ocena O. Pirożyńskiego w poradniku „Co czytać?" przypomina żywo owe anathemata, które się zsypały na Żeromskiego w pierwszej chwili po ukazaniu się „Przedwiośnia". Obie strony wówczas przeholowały, i ci, co książkę i autora potępiali i górnolotni adoratorzy. Dzisiaj krytyka już inaczej tę rzecz ocenia. Bardziej spokojnie i rzeczowo, mniej namiętnie. Wszak pamiętać trzeba o tem, że to jest powieść ideowo niedokończona, że miała się ukazać „Przedwiośnia" część dru-

ga. A kto wie, czy wówczas, przy dalszem rozprowadzeniu myślowem, nie byłby się okazał fatalny błąd Baryki i komunistycznych demagogów. W każdym razie, to, co mamy, jako rzecz niedokończona nie może zasłużyć na bezwzględną i bezapelacyjną ocenę, taką czy owaką. A zresztą, zdaje mi się, że Żeromski w niejednem, jeśli chodzi o stosunki polskie, miał rację. Dzisiejsza nasza „rzeczywista rzeczywistość" zdaje się to potwierdzać (ob. artykuł na ten temat w „Pro Christo", wrzesień 1931).

Dalej w „Międzymorzu" naprzykład widzi O. Pir. tylko nagi „opis Helu", a o samym autorze „Syzyfowych prac" twierdzi, że pragnął „odegrać rolę nauczyciela narodu — rolę, do której nie dorósł". Mimo całego szeregu cech ujemnych (ze stanowiska etyki) w utworach Żeromskiego, taki sąd wydaje się zbyt skrajnym i jednostronnym wobec licznych niewątpliwych zalet w jego twórczości.

Na tem skończę medytację o niezwykłej książeczce O. Pirożyńskiego. Poruszyłem tylko część narzucających się kwestyj, bo jest ich jeszcze daleko więcej. Ale i tak rozrosły się znacznie ramy artykulu.

Reasumując jeszcze raz to, co powiedziałem o książce O. Pir., stwierdzić wypada, że mimo niektórych stron dodatnich (zresztą nielicznych!) „Poradnika" , i mimo niewątpliwie dobrej intencji Autora, cel książki jest stanowczo chybiony. Do tego stopnia, że pożytku (stosując postulaty teologji moralnej pozytywnej) przynosi nie dużo, natomiast może niestety narobić dużo złego podkreślanem przeze mnie kilkakrotnie niepotrzebnem afiszowaniem literatury złej.

Z wielkiem zdziwieniem czytałem panegiryczną wprost recenzję w tak poważnym organie, jakim jest „Przegląd Powszechny" (luty 1932). Mogę ją sobie wytłumaczyć tylko tem, że „Poradnik" O. Pirożyńskiego nosi firmę... Wydawnictwa Księży Jezuitów. Uderzyło mnie m. i. zwłaszcza to, że Czcigodny Recenzent uważa za podkreślenia godny objektywizm w książce „Co czytać?", że Autor „gdzie tylko można, każe drugim mówić za siebie, przedewszystkiem Feldmanowi, którego — jak się wyraża — nikt o pruderję posądzać nie będzie". Argument mało przekonywujący, gdy się pamięta o tem, że różni krytycy do różnych autorów różnie się odnosili. Nie tylko

ze stanowiska estetycznego, ale także ideowego (co jest przecież celem książki O. Pirożyńskiego — cf. str. 6). Ex gr. stosunek do Sienkiewicza — Świętochowskiego w „Prawdzie" a Spasowicza. Albo coby Sz. Recenzent powiedział, gdyby ktoś dzisiaj, po Kleinerze, ocenił Słowackiego tak, jak to czynił Małecki, zwłaszcza w ostatnim okresie swego życia. A sądy Feldmana także są jego indywidualną własnością i nie każdemu przemawiają do przekonania.

Zgadzam się natomiast na wyrażone pod koniec recenzji życzenie, „by autor nie zaniechał rozpoczętej pracy, ale dzieło swoje kontynuował w następnych wydaniach, rozszerzał i udoskonalał". Dodam tylko jeszcze jedno szczere, naprawdę szczere życzenie, moje osobiste: by obecny nakład jak najprędzej wycofać z rynku księgarskiego, a do nowego zabrać się po uprzedniem należytem przemyśleniu tematu i gruntownem przestudjowaniu najnowszych metod krytyki literackiej. Dopiero nowy „Poradnik" z gruntu przerobiony, nastawiony przedewszystkiem *pozytywnie*,—będzie ową „nieodzowną pomocą dla Akcji Katolickiej w Polsce", będzie „wypełniał dotkliwą lukę w piśmiennictwie polskiem".

Wybaczy mi O. Pirożyński, że tak surowo oceniłem Jego pracę. Czyniłem to tylko i jedynie w trosce o pomyślność Akcji Katolickiej, w trosce o propagandę dobrej książki. Nie godzę się pod żadnym warunkiem na zasady t. zw. „Towarzystwa wzajemnej adoracji"; jako człowiek dążący do bezwzględnej szczerości, powiem, co mi serce i rozum każą. Za jedną z największych przeszkód w należytem rozwoju idei katolickiej uważam brak w obozie katolików, dostatecznej wzajemnej krytyki, a istnienie zbyt dużo wzajemnego kadzenia sobie. Mniej byłoby kompromitacji siebie i własnego obozu. Gdzie niema szczerej krytyki, tej czuwającej stale nad poprawnością myśli i czynu, następuje jeśli nie zastój (coby się równało cofaniu się wstecz), to w każdym razie spaczenie i wykoszlawienie rozumu i serca.

Na tej podstawie oddaję niniejsze uwagi krytyczne do druku w imię hasła „Pro Christo".

Ks. A. F. Kowalkowski.

Wieczory w teatrze.

Bez sceny i bez kurtyny.

Opowiadał kiedyś Jaracz, jak to w 1920 r. aktorzy jeździli na front w postaci t. zw. „czołówek" teatralnych i jak to wtedy grało się ku rozrywce żołnierzy. Bywało rozmaicie. Czasami zajmowało się rzeczywistą scenę, jeżeli wogóle istniała; czasami kontentowano się jakąś salką bądź izbą szkolną, a nieraz przybytkiem Melpomeny stawała się zwykła stodoła. Brać żołnierska wypełniała ją szczelnie na stojący (ławki—to luksus!), w środku zostawiono nieco miejsca i w tym zamkniętym pierścieniu rozpoczynało się przedstawienie. Nie było sceny, nie było kurtyny, za wszystkie rekwizyty, mające według scenarjusza imitować wnętrze dworku, służył koszlawy stołek i butelka, a jednak widzowie z takiem zainteresowaniem śledzili akcję sztuki, jakby te dwa graty istotnie były eleganckiem wnętrzem, jakby niecharakteryzowani i nieubrani odpowiednio aktorzy istotnie byli osobistościami z saloniku. Jaracz nazwał to magją teatru.

Przed dwunastu laty brak sceny i kurtyny był wynikiem konieczności, ale wykazał ten przykład i wielu jemu podobnych, że owe — zdawałoby się — nieodzowne utensylja teatralne można usunąć z całą świadomością i jednak teatr zostanie teatrem. W Warszawie ostatnio eksperyment taki zastosował Instytut Reduty, który w pomieszczeniach swoich wystawił w ten sposób trzyaktową sztukę Marji Morozowicz-Szczepkowskiej p. t. „Sprawa Moniki".

Osobliwy to doprawdy teatr, choć oficjalnie nazywa się instytetem. Przedewszystkiem wstęp do niego jest tylko za zaproszeniami. Druga nowość — to dowolność opłaty. Przy drzwiach wejściowych niczem w kościele stół, na nim taca na pieniądze; składa się, ile kto ma życzenie i może, poczem pióro do ręki i podpis na ozdobnym arkuszu. Sala osobliwego kształtu, półokrągła, szereg wnęk. Półkolem stoją krzesła. Parę rzędów. Pod ścianami nawet kanapy. W pierwszej chwili nastrój salonu. Miejsca nienumerowane. Siada się, gdzie chce. Oczywiście byle by nie w części przeznaczonej dla aktorów. Miejscem akcji będzie zakątek pod jedną ze ścian, gdzie utworzone zostało wnętrze nowoczesnego mieszkania. Wszystko widzi się odrazu. Nie będzie niespodzianki w postaci dekoracji.

Sala wypełnia się powoli. Wszystkie miejsca zajęte. Ci, co przyszli najpóźniej, stoją pod ścianami. Godzina rozpoczęcia dochodzi. Rozlega się uderzenie gongu. Wszystkie światła gasną. Salę zalega ciemność. Przez sekundę szemrze szept zdumionych głosów. Stopniowo przycicha, milknie. Jest cicho. Nastrój robi się tajemniczy. Co to będzie? Nagle z nienacka błyska z boku małe światło za szklanemi drzwiami. Zaczyna się cóś rozróżniać. W tem nowy błysk! Reflektory sypnęły wiązki promieni na „scenę". Aktorki były już na miejscu. Przedstawienie rozpoczęte.

Sztuka, którą Instytut Reduty grał przez długi szereg wieczorów przy zapełnionej widowni, jest sztuką typowo kobiecą. I modną. Autorka pokusiła się o zrobienie czegoś podobnego jak Nałkowska w swym „Domu Ko-

biet". Występuje tylko trzy kobiety. Ani jednego mężczyzny. A właściwie ten mężczyzna jest, bo bohaterki ciągle mówią z nim, lub o nim.

Jeśli chodzi o zrobienie tego, co się w szkole nazywa opowiedzeniem treści własnemi słowami, to jest to rzecz trudna, bo takie obdarcie sztuki z założeń ideowych, z wartości wnoszonych przez grę aktorską, pozostawi z niej tyle właściwie, co obdarcie bibułek z kunsztownego abażura. Ale taki to już los recenzenta teatralnego, że, choć to niezbyt słuszne, musi jednak pokazywać druty abażura, by uświadomić czytelnika przynajmniej co do zarysu ogólnego. Otóż „Sprawa Moniki" wygląda tak:

Akt I. U swej przyjaciółki architektki zamieszkuje lekarka, żona powieściopisarza, żyjąca z nim w separacji. Za kilkanaście dni mają połączyć się znowu. Ona oczekuje tej chwili z upragnieniem, z oszczędności własanych urządza miłe, przytulne mieszkanie, a ponieważ mąż pragnął posiadać dziecko, ma się poddać zabiegowi, któryby jej to umożliwił (świadome macierzyństwo!).

— Kocham życie i chcę żyć. Dlatego chcę mieć dziecko — argumentuje swoje pragnienia — Dziecko koronuje miłość.

Architektka wykpiwa macierzyńskie dążenia lekarki, ta jednak nie zraża się. Jeszcze dziś podda się operacji. Ale zupełnie niespodzianie zjawia się trzecia kobieta, dziewczyna-służąca. Dowiedziawszy się, że w tejże kamienicy zamieszkuje dobra pani lekarka, przychodzi z prośbą o pomoc. Nie wie, jak się wyjęzyczyć, żenuje się, aż wreszcie wyjawia swą tajemnicę: ma zostać matką, więc prosi o uwolnieniu od płodu. Lekarka staje w obliczu konfliktu wewnętrznego. Przed chwilą przecie mówiła takie piękne słowa o macierzyństwie, o wartości dziecka i teraz ma czynem zaprzeczyć temu? Odmawia kategorycznie. Dziewczyna grozi samobójstwem. Wtedy staje między obu kobietami układ: lekarka zaopiekuje się dziewczyną do chwili połogu, potem zaś dziecko weźmie za swoje.

Akt II. Już po operacji. Wywiązuje się gorączka. Architektka zaniepokojona, śpieszy po operatora i po męża. Chora chce telefonicznie uprzedzić męża, że nic jej nie grozi, niestety nie zastaje go w domu przy pracy nad powieścią, aczkolwiek w tym czasie winien być obecny. Przeczuwa coś złego. I rzeczywiście cios wisi w powietrzu. Między architektką a hardą dziewczyną, opuszczającą jej dom, wynika sprzeczka, w rezultacie której lekarka dowiaduje się, że ojcem dziecka dziewczyny jest jej własny mąż.

Akt III. Lekarka rekonwalescentką. Po silnym wstrząsie psychicznym powraca do siebie. Architektka stara się wzbudzić w niej ochotę do życia. Przychodzi dziewczyna dowiedzieć się o zdrowie niedoszłej dobrodziejki. Paple parę komplementów o delikatności jej męża i żegna się, gdyż za parę dni wyjeżdża „na panią" do bogatego pana. Na zapytanie o dziecko, odpowiada pogardliwie, że już nawet śladu po niem niema i, dawszy swobodę wymowie, zdradza się, że odtąd będzie mężczyzn traktować jako źródło korzyści przedewszystkiem. Architektka stawia dziewczynę za wzór lekarce, że trzeba brać życie bez ckliwego marzycielstwa, a przy okazji wyznaje, że i ona jest ofiarą tegoż, co obie poprzednie, mężczyzny.. Piękne zdania lekarki o macierzyństwie z woli autorki biorą w łeb i sztuka koń-

czy się ckliwą apostrofą do pracy kobiet nad nową przyszłością, sformułowana ustami lekarki w akcie I temi słowy:

— Kobiety są siłą, która tworzy nowe prawa, nową moralność.

Samo pobieżne streszczenie świadczy, że autorka właściwie naśladuje Nałkowską, ale żeby chociaż była to dobra kopja. Tymczasem to coś takiego jak kopja „Ostatniej Wieczerzy" Leonarda da Vinci, wykonana przez austryjackiego kryptomelancholika z tysięcy marek pocztowych. Już samo chociażby imię bohaterki przywodzi na myśl „Dzień jego powrotu", zato moment jego wyjaśnienia, kto był ojcem nieurodzonego dziecka, jaskrawo przypomina analogiczne anagnorisis z „Domu kobiet". Tam jest to środkiem do rozwiązania akcji dramatu, tu przeniesione, do drugiego aktu, czyni zbędnym akt trzeci, który nie wiąże się organicznie z całością. Poprzestanie na dwuch aktach wcaleby sztuce nie zaszkodziło i wcaleby nie pomogło, taka to bowiem osobliwa sztuka, że co akt, to większy zawód. Piorwszy akt zarysowany jest śmiało i interesująco, węzeł dramatyczny zadzierzgnięty silnie, lecz akty następne sprawiają niespodziankę. Tak samo osoby dramatu. Brak im zwartości charakteru, są niejednolite w każdym akcie inne. Jednolity jedynie jest sposób mówienia bohaterek, które wzorem Nałkowskiej mówią rzeczy głęboko filozoficzne, o ile jednak u Nałkowskiej jest jakiś swoisty światopogląd, z którym widzowi wolno się zgodzić czy nie zgodzić, o tyle u Morozowicz-Szczepkowskiaj raz po raz padają frazesy, ogólniki, banały, wywołujące uśmiech... politowania.

Nie jest „Sprawa Moniki" nadzwyczajną, jeżeli rozpatruje się ją ze strony formalnej. Zwrócić na nią uwagę warto było z tego tylko względu, że autorka rzuciła w niej kobietom hasło do pracy nad zmianą dzisiejszego porządku rzeczy. Nie wyszczególnia, na czem polegać mają nowe prawa i nowa moralność, którą mują dać światu kobiety bez udziału mężczyzn, jest to wszakże nowe sformułowanie feminizmu, który zdawał się bvć pogrzebanym. Kobietom niedość widać zrównania z mężczyznami. Śni im się teraz kobieca supremacja nad światem.

Instytut Reduty dał sztuce oprawę reżyserską i aktorską pierwszorzędną, wskutek czego usterki nie narzucały się z taką siłą, jakby to było przy reżyserji i grze słabszej. Sposób inscenizacji chwilami dawał złudzenie, że się jest u kogoś w pokoju i patrzy się na rzeczywisty wycinek z życia. *Józef Marjan Chudek.*

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Bibljografja pedagogiczna. Nie ulega wątpliwości, że pedagogiem trzeba się urodzić. Jednak ex libro doctus. Czytając książki pedagogiczne, pedagog z urodzenia stanie się wybitnym kierownikiem młodzieży, ten zaś, kto jest pozbawiony zdolności pedagogicznych, uzupełni dotkliwy brak tej potrzebnej każdemu w życiu łatwości wywierania wpływu na młodych.

Chwila obecna przyniosła nam istną powódź dobrej pedagogicznej literatury. Podaję niektóre publikacje z tego zakresu, nie sądząc bynajmniej, że podaję wszystko, ani nawet, że podaję najlepsze rzeczy. Porządkuję je według zagadnień, które w pewnych książkach przeważają.

Zagadnienie harcerstwa omawiają:

Woroniecki, Gawęda o gawędzeniu; Giertych, My młode pokolenie; Lutosławski, Czuj duch; Sedlaczek, Wskazówki dla harcmistrzów; Pawełek, Gawędy instruktorskie; Bogdański, Podstawy harcerstwa; Longin, Katehizm harcerski; Sedlaczek, Podstawy etyczne skautingu; Bogdański, Harcerstwo jako czynnik odrodzenia katolickiego i narodowego.

Zaognioną kwestję seksualną omawia:

Schilgen, Ty i ona; Mazurkiewicz, Pedagogika seksualna.

Okres dojrzewania młodzieży starają się wyświetlić:

Baley, Psychologja wieku dojrzewania; Kreuz, Rozwój psychiczny młodzieży.

Materjału do egzort dostarczają:

Doss, Myśli i wskazania (ks. Dr. Thullie); Młynarczyk, Kształcenie serca.

Solidne podstawy wiedzy pedagogicznej dadzą:

Woroniecki, Katolicka etyka wychowawcza; Hessen, Podstawy pedagogiki; Jeleńska, Sztuka wychowania i Metodyka pierwszych lat nauczania; Nawroczyński, Swoboda i przymus w wychowaniu i Zasady nauczania.

(Uczeń i klasa).

Danysz, O wychowaniu; Torres, Poprzez niwę pedagogiczną; Podoleński, Podręcznik wychowawczy; Kosiński, Pedagogika.

Marzenia młodzieży o osobistej przyszłości skieruje na realną drogę:

Gutsche, Czem być możemy.

Pierwiastkowi religijnemu i wychowaniu charakterów wyznaczają należyte miejsce.

Posadzy, Odrodzić Polskę w Chrystusie; Ciemniewski, Kształcenie charakteru; Sroka, O człowieku z pięknym charakterem; Bilczewski, Charakter; Förster, Religja a kształcenie charakteru. Przykłady cnoty i dzielności dają poszczególne biografje oraz Holle-Kabe, ścieżkami dróg wielkich mężów.

Dobry pedagog nie pominie sztuki w swoim arsenale środków pedagogicznych, pouczy go o niej:

Fałat, Sztuka i życie; Petrażycka-Tomicka, Rozmyślania o sztuce; Niedziałkowski, Studja estetyczne.

Jak włączyć młodzież w całokształt wysiłków kapłańskich, podaje:

Adamski, Zasady duszpasterstwa szkolnego; Winkowski, Praktyczny podręcznik duszpasterstwa w szkole średniej.

Z obcych autorów warto wymienić:

Foerstera i Dossa, którzy są tłumaczeni, oraz takich jak Dunin-Borkowski, Linus Bopp, praca zbiorowa „Der Fährmann". Z francuskich autorów Doncoeur, Lacordaire, Beaupin, Gillet, Ribot, Gratry, Dupauloup, Chabot;

Materjału do gawęd w drużynach żeńskich dostarczą:

Jan Urban, Na wejście w świat; Plater-Zyberkówna, Na progu małżeństwa, Kobieta ogniskiem w rodzinie; Klementyna Tańska, Listy Elżbiety Rzeczyckiej, Dziennik Franciszki Krasińskiej; Schilgen, On i Ty; Barbara Zulińska, Obowiązki Polki; Doss, Na drogę życia; Paciorkiewicz, Wybór listów francuskich, Pisma św. Franciszka Salezego, św. Heronima i św. Ambrożego.

Z literatury pięknej poleca się w tym zakresie:

Balzac, Ludwik Lambert; Kaden Bandrowski Juljusz, Miasto mojej matki; Bandrowski Jerzy, Wieś mojej matki; Dąbrowska Marja, Uśmiech dzieciństwa; Gomulicki Wiktor, Wspomnienia niebieskiego mundurka; Keller Fottfryd, Pankracy Dąsacz; Konopnicka Marja, Nasza szkapa; Korczak Janusz, Józki, Jaśki, Franki; Nowakowski Zygmunt, Przylądek dobrej nadziei; Miłaszewska Wanda, Zatrzymany zegar; Boleslaw Prus, Katarynka, Omyłka, Grzechy dzieciństwa, Antek; Sienkiewicza, W pustyni i puszczy; Skiba Wołody, Nad poziomy; Żeromski Stefan, Ludzie bezdomni, Syzyfowe prace.

X. Dr. Sz. A.

„Ostatni śpiew" Powieść Misyjna. Nakładem wydawnictwa „Młodzieży Misyjnej" Warszawa, ul. Ks. Siemca 6.

„Ostatni Śpiew" czyta się jednym tchem. Dlaczego? Bo nietylko ciekawie napisana, lecz doskonale oddany jest duch ofiary misjonarza, tak, że w czytającym nieci ducha poświęcenią się sprawom misji...

Czytelnik widzi misjonarza w dziewiczych lasach Boliwji, jak zwabia dzikich grą na skrzypcach i jak przychodzą doń mali dzicy przyglądać się grającemu, uczą go swego języka, poczem słuchają „dobrej nowiny". Z czasem powiększa się grono słuchających. Nauka początkowo posuwa się powoli, ale przy dobrej woli słuchających robi postępy; buduje się domy, wprawdzie nie tak okazałe, ale schludnie utrzymane, uprawia się pola i ogrody, choduje się bydło i inne zwierzęta. Widzi czytelnik, jak się raduje serce misjonarza na widok cnót dzikich niegdyś ludzi, żyjących w leśnych norach i ciemnocie ducha, a dziś cieszących sie światłem ewangelji.

„Palec Boży w nowożytnych katastrofach żywiołowych" X. Charszewski. Wydanie drugie, znacznie pomnożone. Nakładem Księgarni i Drukarni Katolickiej w Katowicach.

Książka ta, starannie opracowana, przykuwa czytelnika swą treścią ciekawą, zwłaszcza, że wypadki omawiane dzieją się w czasie, w którym czytelnik żyje, a może był świadkiem tychże.

Autorowi chodziło o uprzystępnienie książki „Palec Boży” dla wszystkich; napisał więc językiem popularnym.

Na czasy obecne książkę tę warto szerzyć; czyniąc to, spełniamy miły obowiązek miłości bliźniego. Oby „Palec Boży” znany był w jaknajszerszem otoczeniu. *H. Br.*

Stefan Kreuz: Rozwój psychiczny młodzieży. (Współpraca domu i szkoły, № 6).

Obie książki ukazały się nakł. Książnicy Atlas. Lwów 1931.

W przeciągu kilku miesięcy obdarzono nas na jeden temat dwoma książkami niesłychanie ważnemi. Pierwsza książka jest obszerniejsza trzykrotnie od drugiej, bardziej naukowa, bardziej też problematyczna, przeznaczona dla zawodowych pedagogów.

Druga jest zwięzła, przystępna, podaje pewniejsze wyniki wiedzy i doświadczenia, przeczytać powinni ją wszyscy rodzice i wychowawcy. Obie książki dlatego są tak pożyteczne, iż z pewnego punktu widzenia, mianowicie dojrzewania płciowego, omawiają cały okres młodości człowieka od dziecięctwa aż po ukończenie wyższych studjów. Obie książki pomijają przebieg myślenia i uczucia religijnego. Ufamy, że znajdzie się niebawem pedagog, który na tym punkcie uzupełni obu powyższych autorów.

Książka polecona dla inteligencji.

Adamczewski: Sympozjon. Książnica-Atlas. Lwów 1928, str. 400.

Trafny wybór najlepszych wyjątków polskich prozaików dziewiętnastego wieku sprawia, że każdy inteligent z rozkoszą i pożytkiem przeczyta tę świetną kartę naszych najwytrawniejszych piór. Oto ich nazwiska: Śniadecki, Mochnacki, Lelewel, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Szujski, Chmielewski, Ochorowicz, Prus, Sienkiewicz, Świętochowski, Szczepanowski, Dmowski, Witkiewicz, Morawski, Brückner, Balzer, Chrzanowski, Gostomski, Matuszewski, Przybyszewski, Brzozowski, Żeromski, Twardowski, Boy-Żeleński. Napróżno szuka się autorów takich jak Pawlicki, Marjan i Zdzisław Morawski, Semeneńko, Kajsiewicz i Koźmian.

(Ks. Dr. Stefan Abt).

Ks. Władysław Wojtoń T. J. „Boskiemu Sercu w dani”. Wiązanka wierszy na cześć Serca Zbawiciela. Kraków 132. Wydawnictwo Księży Jezuitów.

Religijna poezja polska wzbogaciła się w sporą wiązankę wierszy przepięknych, dyktowanych przez gorącą miłość autora, poświęconych wyłącznie Boskiemu Sercu Jezusowemu.

Można słusznie się spodziewać, że natchnione te wiersze często będą brane do okolicznościowych deklamacji na akademjach religijnych,

szczególniej takich, jak Chrystusa Króla, i nie jednemu z tych wierszy dadzą wyraz w śpiewie przez dobranie czy ułożenie odpowiedniej melodji, czego gorąco im życzyć należy.

Ks. Al. Bołtuć. M.I.C.

Ks. A. Bessiere T. J. „Wiara". Z przedsłowiem Jerzego Gocau, Członka Akademji Paryskiej. Przełożył z francuskiego Wł. Nachman T. J. Kraków 1932 r.

Rzecz nowa nie tyle ze względu na 1932 rok wydania, ile ze względu na oryginalne ujęcie przez autora doniosłych religijnych zagadnień, które traktuje on w łatwej, a dającej do myślenia formie szczególniej ludziom oświeconym mało jednak zastanawiającym się nad tematami religijnemi.

Porównania, czerpane z historji czy z przyrody, tak wymowne a tak często naiwne w swej prostocie, nie mogą nie zmusić inteligentnego czytelnika dobrej woli do rozważenia zagadnień porządku nadprzyrodzonego i nie wpłynąć kojąco, pogodnie na szamotanie się wielu dusz we własnych mrokach wewnętrznych lub — tęsknotach wyższych.

Omawiana książeczka zasługuje na wytworniejszą formę jej wydania, by każdy rozdziałek miał osobną kartkę a całość w mniejszym formacie i ozdobnej oprawie mogła się znaleść obok rozmaitych „Wyborów poezji" lub „Złotych myśli".

Ks. Al. Bołtuć. M. I. C.

Lutowy zeszyt miesięcznika naukowego **„Ateneum Kapłańskie"** (Włocławek, Sem. Duch.) zawiera dalszy ciąg rozprawy J. E. Ks. Arcbp. Teodorowicza „Zjawiska mistyczne i ich tłumaczenie" będącej odpowiedzią na dzieło Ks. Siwka o Teresie Neumann, stygmatyczce z Konnersreuth.

Ks. A. Bukowski, ogłasza artykuł p. t. „Najbardziej aktualny dogmat eschatologiczny" (Śmierć kresem pielgrzymstwa człowieka); Br. Nowicka omawia „Kościelne stanowisko arcybiskupów Gnieźnieńskich w wieku XIV". W dziale spraw pasterskich poruszono ciekawe zagadnienie dotyczące pracy duszpasterskiej w dobie kryzysu. (X. Dr. Bobicz); „Kuźnia Akcji Katolickiej" — rekolekcje zamknięte (Ks. S. W.); Duszpasterstwo a bezrobotni (S) i wiele innych. W przeglądzie życia religijno - kościelnego jest dokończenie rozprawy Ks. Dr. K. Wilka. Hagiografja metodycznie ujęta, omówienie enc. „Lux veritatis" na zakończenie jubileuszu Soboru Efes. (Ks. E. Grzymała). Z powodu 50-lecia Międzynarodowych Kongresów Eucharyst. (1881—1931) kilka danych historycznych podał Ks. S. W. Nadto znajdujemy to porównawcze omówienie pracy stowarzyszeń młodzieży katolickiej w Polsce i we Francji (W. S.). W przeglądzie naukowym O. Dr. Hoemdeker omawia Konstytucję Ap. o wyższych studjach kościelnych. Wśród recenzyj ważniejsze dotyczą prac Ks Siwka, Żychlińskiego, J. Mirskiego, Kłosa, Sobalkowskiego. Pokłosie literackie (Kisielewski, Muron, F. Goetel, Fl. Barclay, Wybranowski, Przyborowski, Jeleńska i i.) W opracowaniu Ks. Dr. W. Miemca, i dodatek bibljograficzny kończy bogatą treść.

„Młodzież Katolicka“ № 1 Warszawa-Lwów 1932. Kwartalnik pod powyższym tytułem jest organem organizacyj katolickich polskiej młodzieży akademickiej. Znajdujemy w nim więc artykuły członków „Juventus Christiana”, Sodalicji Akademików, Katolickiej Młodzieży Narodowej, Stowarzyszenia charytatywnego akademików—„Pomoc Bliźniemu”, Akademickiej Ligi Katolickiej we Lwowie, Akademickiego Koła Misyjnego i t. d.

Treść pierwszego numeru bardzo bogata i różnorodna — stanowi dowód, jak wszechstronnie katolicka młodzież akademicka wraz ze swemi dążeniami przenika do życia społecznego, jak w każdej jego dziedzienie stara się wszczepić zasady nauki Chrystusowej.

Jeśli idzie o ciekawsze punkty numeru to w pierwszym rzędzie wymienić tu należy gorący, przepojony wiarą w naszą pracę i jej wyniki artykuł ks. rektora Szwejnica p. t. „Więcej optymizmu”. — Dalej znajdujemy nadesłany przez prezesa związków młodzieży katolickiej włoskiej, p. Aldo Sburlatie—artykuł o ruchu katolickim wśród akademickiej młodzieży w jego kraju. Szersze omówienie znajduje rocznica pontyfikatu Ojca św. Piusa XI —w pracy inż. Tadeusza Mickiewicza... Niepodobna wyliczać całego, zebranego w pierwszym numerze kwartalnika materjału. Każdy, kto się tem inuteresje — a wyraz życia potężnego odłamu młodzieży akademickiej winien zainteresować wszystkich—z łatwością znajdzie drogę do poznania numeru.

Tu na tem miejscu podkreślić tylko trzeba z radością, że znajdujemy oto nowy dowód, że nasza młodzież akademicka pielęgnuje w duszach swoich zasady katolickie, że je chce wpajać w życie polskie.

Strona zewnętrzna numeru jest wysoce estetyczna, z przyjemnością bierze się kwartalnik do ręki, a wreszcie i cena (1 zł. numer) jest ceną dla każdego przystępną. Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wspólna 35 m. 10, tel. 9-29-96, Lwów Na Bajkach 16. *M. J.*

Redaktor odpowiedzialny: HIERONIM SAMULSKI.